

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. Nr 44 (244)

Łódź, 4. XI 62.

Cena

1 zł

odgłosy

FELIETON
SCEPTYKA

Zwycięstwo
roзумu

141 lat temu, James Monroe, ówczesny prezydent USA, o-

głosił w Kongresie deklarację, której istotny sens streszczał się w haśle „Ameryka dla Amerykanów”. Hasło to, mające zrazu pewien aspekt postępowy, ten mianowicie, by państwa europejskie skończyły z kolonialnym podbojem krajów kontynentu amerykańskiego, przerodziło się rychło w najbardziej re-

akcyjny kanon amerykańskiej polityki zagranicznej. W ciągu XIX wieku Stany Zjednoczone ustanowiły swoją hegemonię na tym kontynencie, a w praktyce owo hasło zaczęło oznaczać: „Cała Ameryka dla Amerykanów z USA”.

W roku 1895, ówczesny sekretarz stanu, Ryszard Onley miał wszelkie dane, żeby stwierdzić:

„Stany Zjednoczone są obecnie, praktycznie biorąc, faktycznym suwerenem tego kontynentu; nasze ustawy są prawem dla narodów, które znajdują się w strefie naszych wpływów”. W osiem lat później prezydent Teodor Roosevelt zapisał w dziejach jako inicjator podporządkowania Stanom Zjednoczonym Kuby i Panamy mówił:

„Wierzę całym sercem i duszą w doktrynę Monrogo. Jest takie stare, trafne przysłowie, które brzmi: „Mów cicho i noś przy sobie duży kij, a daleko zajdziesz”. Jeśli naród amerykański będzie mówił cicho, równocześnie zaś zbuduje i utrzyma na najwyż-

Dalszy ciąg na str. 12

JULIAN BRYSZ

Narodziny życie zgon

10 LAT REKONSTRUKCJI

Przed 10 laty było tu — w Urzędzie Stanu Cywilnego, Łódź-Sródmieście — 110 pracowników. Biura zajmowały 40 pokoi. Mimo, to na spisanie czekało 235 tysięcy aktów urodzenia, małżeństwa i zgonu. Zaległa korespondencja sięgała liczby 75 tysięcy. Dla uzyskania odpisu metryki trzeba było co najmniej roku cierpliwości. Sterty dokumentów leżały sobie spokojnie i właściwie nie było do nich żadnego klucza. Chęć znaleźć cokolwiek, należało przewertować niemal wszystko.

W owym czasie liczba skarg, slanych przez petentów do władz zwierzchnich, przewyższała tysiąc w ciągu roku. Nawet kwaterunek był pod znacznie mniejszym obstrzałem.

Tych faktów i liczb nie wzięliśmy z powietrza. Figurują one w poźółkłym już dzisiaj protokole zdawczo-odbiorczym Urzędu. Przejmował wówczas tę stajnię Augustas p. Władysław Do-

Dalszy ciąg
na str. 8

ADA JASKULSKA I MICHAŁ GALEWSKI

Na tropach szalbierstwa

Dowiedzieliśmy się o nim przypadkowo. Mówiono, że jest nadzwyczajny. Potrafi wykryć każdą chorobę. Nie wyjaśniać nie potrzeba — tylko dotknąć człowieka i już wszystko wie. Jak lekarze nie mogą poradzić — to on pomoże na pewno. Odpowiednie lekarstwa zaleci i — jak ręką odjął!

A stosuje wprost genialne metody, oparte na najnowszych zdobyczkach nauki. I na teorii kwantowej się zna, i na elektronach... Bada przy pomocy różdżki lub ciężarka na łańcuszku... Tymi przyrządami wykryje każde schorzenie. Zaintrygowani zapytaliśmy, gdzie ów fenomenalny uzdrowiciel mieszka? — W Izbie Kujawskiej. Trzeba zgłosić się na pleban-

PIELGRZYMKĄ
DO BRUDNEGO
MIASTECZKA

PKS zatrzymuje się w Izbie tuż przy kościele. Pośród domów miasteczka sterczą wieże jeszcze jednej świątyni. Może to właśnie tam? Przemierzamy nieczyste brudny rynek, po którym wiatr z miejsca na miejsce przegania zeschnięte, liście, podarte papierzyska i tumany kurzu. Podobnie wyglądają uliczki. Tak zaśmieconej miejscowości dawniejszy nie oglądali. Przed jednym z domków stoi stara kobieta.

— Proszę pani, czy to przy tym kościele mieszka ten ksiądz, co leczy? — pytamy.

— E, nie, ten ksiądz to mi-miecki. Ten ksiądz to przy tamtym kościele...

— A czy łatwo się do księdza dostać?

— Ano, bo ja wiem? Pewnie tak...

— Dużo ludzi do niego przyjeżdża?

— O, kiedyś to bardzo dużo. Raz nawet u mnie nocowali...

— To ksiądz pewnie dobrze leczy?

— Ja tam nie wiem. Ja u niego nie byłam...

Wracamy więc do rynku. Jest zimno, postanawiamy przed wizytą napić się gorącej herbaty. Na rogu budynku, w którym mieści się gospoda, widnieje gablotowy szyld z napisem: „Pokoje noclegowe w podwórzu”. Ciekawe, dla kogo? Chyba nie dla turystów? Mieścina mała, brzydka, nie widać nie zabytkowego...

Kelnerka z gospody pokazuje nam budynek plebanii.

— To tam — mówię.

— A niech nam pani powie: czy ten ksiądz naprawdę tak dobrze leczy?

— Wykryć chorobę to mówią, że wykryje, ale jak leczy, to ja nie wiem...

Dalszy ciąg
na str. 4



Fot. I. OLEJNICZAK

TADEUSZ GIGIER

Podróże bliższe i dalsze

Różowo-czarni w Tomaszowie Mazowieckim

Zaraz na początku podróży stałem się mimowolnym świadkiem pewnego incydentu. W sąsiednim przedziale, naprzeciw starszego mężczyzny w podniszczonym płaszczu, usiadł młodzieniec z wąskimi i zaczął dmuchać w nos swemu vis-a-vis dymem z papierosa. Młodzieniec czasem to się zdarza, szkopol w tym, że był to przedział dla niepalących. Na zwrócenie mu uwagi młodzieniec odpowiedział, że owszem, zgasi papierosa, ale dopiero wtedy, gdy starszy pan pofatyguje się po konduktora. Konduktor znajdował się przypadkiem blisko, gdy jednak sprowadzono go do przedziału, mło-

dzieniec już nie palił: spoglądał wyzywająco na swego konduktora. Ogół pasażerów zajął jednak godne podkreślenia stanowisko: objaśniono konduktora co do przebiegu incydentu i młody człowiek musiał zapłacić umowną karę 10 zł. Próbował wprawdzie ratować się nonszalancką, wymachiwał banknotem „wudziśtozłotowym” (!), ale minę miał nieszczególną. Rozróbka zakończyła się jego kompletną porażką.

A więc znów problem młodzieży i jej wychowania. Ano, zobaczmy. Na razie miałem jeszcze do Tomaszowa Mazowieckiego — celu mej podróży — godzinę jazdy i mo-

głem spokojnie dealektować się jesiennym krajobrazem. Zwłaszcza, że poranne mgły ustąpiły i ciągnące się wzdłuż toru lasy plawiły się teraz w potokach potężnego słońca. Tomaszów Mazowiecki powitał mnie zadymionym niebem. No cóż, jak wiadomo, jest to brat Łodzi — podobnie zresztą jak Łódź niezbyt niesety, schludny. Przekonałem się już o tym na przystanku autobusowym, a także w całym autobusie: wprawdzie kierowca zadłgał sobie w prz-

Dokończenie
na str. 5

JEDEN ZERO DLA KIBICÓW

Mówię się czasem, że życie sportowca polega u nas na tym, że dwudziestu dwóch pa-
nów biega po boisku, kopie piłkę, albo przeciwnie, a dwadzieścia tysięcy kibiców przeżywa niebywałe emocje, później zaś część z nich pije z radości, albo ze smutku.

Spróbujmy to żartobliwie i nieco przesadzone powiedzonko przeanalizować ze zwięzłą powagą. Socjolog z pewnością powie, że mamy tu do czynienia ze społeczną fascynacją, z niebywałym silnym wpływem sportu na zbiorowe czucia i wyobrażenia. W Łodzi można usłyszeć, że tak-
że chyba przesada, że kiedy LKS dostanie w skórę — produkta spada, ludzie piją, marzną się i gorzej pracują. Kiedy LKS wygrywa — przeciwnie, produkcja rośnie. Nie jestem przekonany o tak wielkim wpływie nażki piłkarskiej na przemysł łódzki, przecież jednak w każdej bajce jest coś z prawdy.

Nie chodzi mi o zewnętrzne przejawy tej fascynacji, opisane jest setki razy.

Zastanawia mnie mechanizm powstawania jednego z największych mitów naszych czasów — mitu sportowca. Kibiców nazwałbym wyznawcami mitu, z głównymi twórcami sprawy jest dno skomplikowana, twierdzenie bowiem jest — jak sądzę — czynnością nieświadomą, często nawet działaniem w najlepszej wierze. Każda poszczególne działanie — nie są tu jeszcze groźne, dopiero ich suma przesadza o społecznym funkcjonowaniu mitu, o jego stronie praktycznej.

SZCZEBEL MIASTA I SZCZEBEL PAŃSTWA

Na ostatnim Plenum KŁ PZPR przemawiał m. in. prezes LKS. Było to z całą pewnością wystąpienie człowieka szczerze zainteresowanego o rozwoju sportu w naszym mieście. Ale równocześnie jeden z typowych przykładów do dziejów powstawania, a raczej już gruntowania, mitu sportowca.

Prezes powiada, że musimy „widzieć sport na szczeblu miasta i na szczeblu państwa”. Od razu wyskoki ten, od razu racja stanu bez mała. Ależ tak! mi państwo, bez mała racja stanu! O to jego słowa: „Mnie się wydaje, że sprawa sportu masowego, to jest przygotowanie kadry dla sportu wyczynowego, który reprezentuje nasze miasto wewnątrz kraju i reprezentuje nasz kraj w rozgrywkach międzynarodowych”. I po coś dać od razu w puze, po coś przesadzić?

Leć to może nie najważniejsze. Prezes LKS powiada krytycznie o klubach, że „za-
częła się zaślepienie batalia o utrzymanie najlepszych zawodników w swoim klubie, nie licząc się z tym, że za-

wodnik, który przedstawia fa-
lenty, powinien być oddelego-
wany do drużyny wyższej
klasy”. Takie stanowisko ma
omawiać, że kluby, które
chcą mieć dobrych zawodni-
ków, ponieważ ich wychowa-
ły, nie myślą o sporcie, jako
sprawie państwowej, lecz my-
ślą o zyskanku.

Wszystko to prawda do ja-
kiegoś stopnia, ale jeżeli ten
stopień przekroczy, ude-
rzymy w wielki dzwon z po-
wodu lewoskrzydłowego, je-
żeli LKKF postanowi karać
kluby, które bronią tego, co
własną pracą wytworzyły,
mamy już do czynienia z mi-
tołwostwem. Sportowiec nie
jest już zwykłym człowie-
kiem, on jest osobistością,
sportowiec nie współzawodni-
czy z innym, to z jego powo-
du trwa współzawodnictwo,
szale się przedmiotem zabie-
gów, umizgów, wybiera po-
między propozycjami. Raz są
to jego istotne perspektywy
rozwojowe, raz całkiem ziem-

tyłko ta przesada, owo mi-
tołwostwo, które urasta do roz-
miarów obowiązującego syste-
mu w sporcie. Jest to system
nie bez zalet być może, ale
— jak sądzę, przeważają w
nim wady.

SKUTKI MITU

Z tych wad zdają sobie
sprawę nasi łódzcy działacze
sportowi. Dr Andrzej Nonas,
prezes TKKF, powiedział: „Łódź
jest nastawiona na szukanie
wielkich wyczynowców po-
za swoim miastem. To jest
nieszczęście wypły-
wające z własnych win.
Czy nie dziwne, że Piłkows-
ki wyrósł w Konstancynie,
wice, że czołowych bokserów
mamy w Pabianicach i Piotrkowie?”

Moim zdaniem — weale nie
dziwne. Pan Głazewski, na-
sza dawna mistrzyni łyżwiar-
ska mówi: „U nas widzimy,
że faworyzują się tylko jeden
klub... Dlaczego nie można
dać pieniędzy na łyżwiarstwo,

hockey, nawzajem tkwią w przy-
wiązaniu sportowców do ma-
cierzystego klubu. To ma coś
do szlachetnej rywalizacji po-
między klubami, rozwija tak-
że trenerów, dopinguje ich,
zmusza do dbałości o własne
urządzenia, no, ale u nas kluby
długo cieszyć się nie mo-
gą ułatwowanym wychowan-
kiem. Budujemy mechy dla
pana starszy, pracujemy na
dwie drużyny piłkarskie i
jedną bokserską, przewracamy
młodym ludziom w głowie.
Nauczyciele mogą przytoczyć
wiele przykładów wyrwania
młodzieży ze szkoły. Cóż
gwiazdowi po szkole, kiedy
ma pracę na usługę, kiedy
do jakiej wzdycha niejedna
pracowita pisarz, coż mu po
macierzystym klubie, jeżeli
czeka go awans, premie pie-
niężne gdzie indziej? Po kil-
ku latach wraca zlamany czoł-
wik na ławę szkolną. Wznac-
nianie reprezentacyjnych dru-
żyn ma, oczywiście, sens, ale
to nie może być system na

Plenum rozwinął i teraz pa-
trzymy już spokojnie praw-
dzie w oczy, bez niezdrowej
fascynacji. Na terenie Łodzi
działa 27 klubów sportowych
i 76 Ognisk Towarzystwa
Krzewienia Kultury Fizycz-
nej. Na jeden klub przypada
więc około 26 tys. mieszkań-
ców, co stawia nas w kraju
na pierwszym miejscu od
końca. Kluby rozwijają się
nienormalnie, mamy bowiem
176 sekcji, ale 79 spośród nich
to piłka nożna. W tych klubi-
kach ćwiczy 11.698 sportow-
ców, w ogniskach TKKF —
10 tys. osób uprawia sport
nieregularnie. Jeżeli dodamy
młodzież sportową ze szkół
— otrzymamy 37 tys. ćwiczą-
cych, z czego wynika, że w
sposób czynny interesuje się
sportem co 20 łódzianin.
A nam się wydawało jakiś
czas, że Łódź to bardzo uspor-
towane miasto, myliliśmy
wyraźnie kibica ze sportow-
cem. Dziś już wiemy, że wy-
tworzyliśmy typ gapia sporto-
wego, ale do społecznego
ruchu sportowego bardzo
nam jeszcze daleko. Nasz ki-
bic jest zresztą mocno okale-
czony, niekompletny, uznaje
piłkę nożną i boks, inne dys-
cypliny mało go interesują.
W Moskwie przychodzi tłumy
na mecze siatkówki, kos-
zusa, pływanie, ludzie pasjo-
nują się łyżwiarstwem, szermierką, naszego entuzjastę
mało obchodzi te dyscypliny
sportu.

Badania wykazały, że 27
procent włókniarzy w wieku
25-35 lat nie posiada dostatecz-
nej giętkości pałców, 15
procent przeżywa już pewne
kłopoty przy ruchach ramion.
Jeżeli więc mówimy o wpły-
wie sportu na sprawność pro-
dukcji, zapominamy o nodze
działacza z LKS, myślimy o rę-
kach włókniarzy. Tak się też
już dzieje. 8 tys. robotników
uprawia dziś ćwiczenia w za-
kładach pracy. Nie jest to
sukces godny zawrotu głowy,
przecież jednak oznacza po-
stępek. Dzisiaj, pojawi się tre-
ner gimnastyki w zakładach
Jurezaka, jutro może w za-
kładzie pracy, którym kieru-
je prezes LKS. Tak jak u-
miejętność czytania i pisanie
stanowi elementarną fazę
wszelkiej rewolucji kultural-
nej, tak też masowy sport
należy zaczynać od powszech-
nie stosowanej gimnastyki.

GIMNASTYKA TO RZECZ MIŁA

Przez nią zdrowie jest i si-
ła — takiej piosenki uczono
mnie jeszcze w szkole. Wró-
ćmy jeszcze do sprawy gim-
nastyki, przez co rozumieć
trzeba masowe uprawianie
sportu, na razie jednak pragnę
zwrócić uwagę na dość za-
bawny paradoks. Prezes LKS
jest równocześnie dyrektorem
jednych z największych
zakładów pracy w naszym
mieście. Powiedział, że już
przytaczałem, że sport ma-
sowy jest po to, żeby zasilać
wyczynowy. No, a w jego
zakładach nie wprowadzono
jeszcze, tak przynajmniej by-
ło w okresie Plenum, zwyk-
łej gimnastyki dla pracow-
ników fabryki.

I tu wypada mówić o in-
nym miecie, tym razem — mi-
cie związanym ze sportem
masowym. Chwała bogu —
jak pociągają marksiści, że
ten mit został na ostatnim

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

B A Z A LUDZI ZDROWYCH

skie, ale nie zawsze pospoli-
te dobra, jak mieszkanie, czy
samochód. I oto nagle wszy-
scy zaczynamy wierzyć, że jest
to postać wyjątkowa, niezwy-
kle ważna dla kraju, którą
trzeba pieścić, przegrzewać,
habubić słodko, żeby tylko te-
go gola „zsunąć”. Nagle za-
czynamy mówić, że np. spor-
towy-akademicy powinni być
lepiej traktowani niż inni
studenci, chociażby i najzdo-
lniejsi. Tak, tak, proszę pań-
stwa, słyszeliśmy niejedną
raz, żeby im lepsze po-
koje dawać, ulgowo bony
żywnościowe, pozwolić na
repetowanie ze względu na
wielkie zasługi „na
szczeblu miasta i szcze-
blu państwa”. Coś tu nie
jest w porządku, nawet wo-
bec tego skromnego chłopca,
który za kilka lat będzie na-
prawdę świetnym fachowcem
na szczeblu miasta, a może i
państwa, chociaż biega zle
na sto metrów.

Proszę mnie dobrze rozu-
mieć, weale nie lekceważę
wagi wyczynu sportowego, ba,
wierzę w jego propagandowe
znaczenie w kraju i za grani-
cą, gołów jestem przynaj-
mniej tym, którzy w pewnych
określonych przypadkach —
wymagają wybrane drużyny,
wykorzystujące wszystkie środ-
ki, aby dobrego sportowca do
siebie przyciągnąć. Uważam, co
więcej, że w Łodzi trzeba be-
dzie jeszcze pewien czas tak
postępować. Martwi mnie

a dajemy na boks? Na ły-
żwach można jeździć w wieku
7-10 lat, a bokser walczy
tylko w pewnych granicach
wieku”. I jeszcze głos naszego
kuratora okręgu szkolnego
p. Woźniakowskiego: „Słu-
cham czasem na naradach,
jak dużo działacze sportowi
mówią o młodzieży i zastana-
wiam się, ile tam rzeczywi-
stych troski o młodzież, zdrowie,
kulturę fizyczną, ile zaś ha-
sał obliczonych na odwróce-
nie uwagi. Wydaje się, że
sport młodzieżowy stoi lepiej,
dopiero po 20-letniej gini, a
więcej w późniejszym życiu
sportowym, winniśmy więc
towarzysze działacze sportowi
być się wstydzić, ale we wła-
sne pierści”.

Jeszcze więcej troski i nie-
pokoju, obok skwitowania rze-
czywistych osiągnięć, okazał
na Plenum główny referent
tów. Rejnak, sekretarz KŁ
PZPR.

Przybierająca kształt usau-
cjonowanego systemu IDE-
OLOGIA NATYCHMIASTOWE-
GO SUKCESU W SPORCIE.
Ideologia niecierpliwa, idąca
na przekór pracy wielu klubi-
ków, przynosi smutne owoce.
Cóż znaczyć takie fakty: sta-
dion „Orla” jest zdewastowa-
ny w dużej mierze, podobnie
wybudowany duży zakładem
środków stadion „Włókniar-
za”. Nie jestem zwolenni-
kiem partakulizmu, ale wie-
rzę w duży walor wychowaw-
czy, jaki przy umiejętnej po-

☆☆☆

Vita brevis — i oto
rozstaliśmy się z panem
Wacławem Orzechow-
skim: zmarł człowiek,
który od roku 1945 sta-
nowił nieodłączną czę-
ść literackiego świata,
zrazu polskiego, później
tylko łódzkiego. Ktoś
nie znał oddanego, tro-
chę zrzędlawego, lecz
jakże dyskretnego stra-
żnika porządku w lite-
rackim kolchozie przy
ulicy Mickiewicza? Sam
pan Orzechowski — a
dla wybranych, — pan
Wacław — mawiał, że
już nie wybiora sobie
pracy w innym środo-
wisku: taką miał sla-
bosć do literatury, trak-
tując ich ze szczególną
mieszanią pobłażania,
sympatii i szacunku.
Tego szacunku było za-
wyczaj tyle, na ile da-
ny pisarz zasługiwał.
Cóż dziwnego, znał się
przecież pan Orzechow-
ski i na ludziach w
ogóle, i na pisarzach w
szczególności: niedawno
do swych przyjaciół za-
liczał Broniewskiego,
był zaufanym człowie-
kiem Nalkowskiej, u-
działał praktycznych po-
rad w sprawach praw-
nych samemu Brzech-
wie.

Vita brevis est — i
oto rozstaliśmy się z
panem Orzechowskim:
nie ujrzymy już tej cha-
rakterystycznej sylwet-
ki, nie usłyszymy tego
srogiego głosu: nie bę-
dzie już pan Wacław
wojował z krzykliwą
dzieciarnią, z natrętny-
mi domokrażcami, z nie-
dbałą administracją bu-
dynków. I nie będzie
z kim pomówić o daw-
nych, świetnych czasach
Domu Pisarzy przy ul.
Mickiewicza 8.

Ala niektórzy z nas
uważają, że właśnie te-
raz pan Orzechowski w
innym i lepszym świe-
cie przejmie swe no-
we obowiązki. I może
właśnie teraz wita się
ze starymi znajomymi,
by rozłoczyć nad nimi
czujną, troskliwą opie-
kę?

Dałszy ciąg na str. 7

— Jak jest zakres prac Ka-
tedry Pani Profesor?

— Zajmujemy się badaniem
drobnoustrojów — przemysło-
wych. Takich np. jak drożdże,
bakterie, pleśnie. Szerepy te-
chniczne bakterie są wykorzy-
stywane w produkcji kwasu
mlekowego, octowego, niektó-
re pleśnie wytwarzają inne
używane w produkcji sera
roquefort, kwasu cytrynowe-
go. Mamy też bakterie deks-
trazotwórcze (w Kulinie jest jed-
yna w Polsce fabryka dekstra-
nu — leku, używanego jako
produkt zasilepczy w przypad-
kach szybkich transfuzji) wie-
le innych kultur użytecznych
w przemyśle. Drugi kierunek
naszych prac to walka ze
szkodnikami — drobnoustro-
jami występującymi jako za-
każenia w produkcji.

— Jakimi mogą być skutki
ewnych zakażeń?

— Zakażenia mikrobiologi-
czne powodują obniżenie wy-
dajności produktu gotowego (np. w
przerabianego surowca (np. w
gorzełni mogą spowodować
zmniejszenie alkoholu — przy-
mianego z jednoscą cukru
lub skrobi), mogą też dyskwa-
lifikować gotowe produkty o
wysokiej nawet jakości, jeśli
je zakażają (np. psucie się
serów, wędlin, mętnienie pi-
wa i wina itp.). Odnosi się
do prac Katedry choć dodać,
że pracujemy dla przemysłu
przez rozwijanie właściwych
metod kontroli mikrobiologi-
cznej. Jest to zagadnienie pod-
stawowe, interesujące anality-
kę światową. W większości
też krajów o rozwiniętej pro-
dukcji artykułów spożywczych
zagadnienie kontroli są przed-
miotem szerokiej badań nau-
kowych. Wiąże się to z roz-
wojem techniki, wprowadza-
niem na rynek nowych asor-
tymentów i koniecznością ich
oceny z punktu widzenia zdro-
wia konsumenta.

— Czy z konsultacji Kate-

dry korzysta tylko przemysł
spożywczy?

— Nie tylko. Poza przemy-
slem spożywczym konsultuje-
my i inne gałęzie gospodarki.
Niedawno nawet i ZPB im.
Dzierżyńskiego, bo właśnie
kolonie pleśni na stanowią-
kach powodowały rozkład
włókna. Drobnoustroje potra-
fią niszczyć nie tylko włókno
ale toczy drewno, „worzywa
szluzne a nawet beton, nie
mówiąc już o znanej dość po-
wszechnie korozji rur żelaz-
nych, która również jest „dzie-
łem” bardzo aktywnych bak-
teri żelazowych.

— Które z bakterii są nie-
groźne dla człowieka, najbar-
dziej mu przydatne?

— Bakterie z grupy fermen-
tacji mlekowej, którymi leczy-
my się nawet w stanach a-
witaminowych po leczeniu anty-
biotykami. Są to bakterie wy-
stępujące w kwaśnym mleku,
kefirze i jogurcie. Ważne
składniki pochodzenia mikro-
biologicznego zawierają rów-
nież kiszonki: kapusty i ogór-
ków. Do bardzo cennych właś-
ciwości tych drobnoustrojów
czynnych w tych fermentowa-
nych produktach należy np.
ich zdolność do syntetyzowa-
nia witamin. Badania wyka-
zują, że np. w serach, takich
jak ementaler, roquefort i in-
nych, bakterie powodują
zwiększenie zawartości wita-
miny B-12 i kwasu folinowe-
go, a więc stanowią dla nas
nie tylko smaczne urozmaie-
nie pokarmowe ale wzbogaca-
ją produkty w ważne biolo-
giczne składniki.

— A bakterie złośliwe?

— W przemyśle spożywczym
są to przede wszystkim bak-
terie wytwarzające jady czyli
toksyny. Najgroźniejsze to
beztlenowce, jak lasecznik ja-
du kielbasianego, które nawet
mogą spowodować zatrucie
śmiertelne. Walkę z bakteriami
chorobotwórczymi bardzo

ROZMOWA
OPRACOWAŁA Z:
prof. dr Jadwigą Jakubowską
kier. Katedry Mikrobiologii Techni-
cznej Politechniki Łódzkiej

ostro prowadzi Państwowy
Zakład Higieny, a my współ-
pracujemy z nim w pewnym
zakresie.

— W programie zajęć pra-
cowników Katedry jest kon-
trola higieny w zakładach pro-
dukcji żywności w przemyśle spo-
żywczym i włókienniczym. Jak-
ie wnioski płyną z tych ba-
dań?

— Kontrola ta wykazuje
stałe, że należy podnieść czys-
tość surowców i wyrobów
przez przestrzeganie reżimów
technologicznych. Uniknie się
wówczas wielu niepożądanych
zakłóceń w produkcji. Poza
tym badania przeprowadzane
w zakładach przemysłowych
nawet i przez naszych studen-
tów, zwróciły uwagę na ko-
nieczność większej dbałości o
czystość rak robotników, wo-
dy, aparatury, powietrza, szcze-
gólnie w zakładach przemysłu
spożywczego i fermentacyjne-
go. Pierwsze nasze prace w
Łodzi były związane z prze-
mysłem włókienniczym m. in.:
cykl badań nad rozkładami
przedmioty kazeiny w Łódz-
kich Zakładach Włókien Szu-

czynnych na Widzewie, wykazał
szereg konkretnych postula-
tów, które zostały wykorzy-
stane dla usprawnienia pro-
dukcji.

— A jak przedstawia się
działalność naukowa Katedry
na forum międzynarodowym?

— Bierzymy czynny udział
w imprezach międzynarodo-
wych organizowanych w róż-
nych krajach. W tym roku u-
czestniczyliśmy w XVI Mię-
dzynarodowym Kongresie Mie-
czarskim w Kopenhadze oraz
w X Międzynarodowym Kon-
gresie Winiarskim w Tbilisi
(ZSRR). Wygłosiliśmy tam re-
feraty omawiające wybrane
zagadnienia naukowe. Nasza
metoda kontroli win została
przyjęta przez komisję anality-
czną — międzynarodową or-
ganizację w zakresie całej po-
lityki winiarskiej. (Organisa-
tion Internationale de la Vin
w Paryżu).

— Jak wynika z tej krót-
kiej informacji zadania Kated-
ry są niemałe, niemałe też
obowiązki czekają jej ab-
solwentów. Czy można prosić
o króciutką charakterystykę



Prof. dr Jadwiga Jakubowska

ora...czytano-naukowej stro-
ny Katedry oraz możliwości
zaspokojenia przez nią zapo-
trzebowania przemysłu na pra-
cowników o tej specyfności?
— Katedra nasza ma 10 pra-
cowników naukowych, którzy
drukowali już liczne prace
naukowe ze swej dziedziny. Ja
sama opublikowałam 50 wła-
snych prac naukowych oraz
wspólnie z dr. Matuszewskim
opracowałam podręcznik z za-
kresu mikrobiologii inżenier-
skiej. Nasz skrypt: Mikrobi-
logia ogólna — wykorzystują
studenci politechniki i innych
wyższych uczelni w kraju.
Jeśli chodzi o to ilu absolwen-
tów wypuszcza Katedra rocz-
nie dla przemysłu, to trzeba
powiedzieć, że raczej niewie-
lu (zaledwie 7) gdyż ta
specjalizacja jest trudna i
wymaga dużego wysiłku od
słuchaczy i zespołu nauczają-
cego.

— W tym stanie rzeczy
przemysł doczeka się upra-
gnionej kadry mikrobiologów
gdzieś w drugim Tysiącleciu...
— No, to już za dużą prze-
sada w czarnowidziewie... Są
już dość liczne przedsiębior-
stwa, które mają w zespołach
specjalistów mikrobiologów,

Prócz tego zaczyna się też
coś niecoś robić w dziedzinie
mikrobiologicznych badań kon-
trolnych na terenie zakładów
przemysłowych. Część przed-
siębiorstw przystąpiła do roz-
budowy pracowni mikrobi-
ologicznych. Nawet w niektó-
rych cukrowniach opracowa-
no instrukcje kontroli mikro-
biologicznej i przygotowuje
się obecnie warunki do wpro-
wadzenia ich w życie.

— A plany Katedry?

— W planie na najbliższe
lata (do 1980 r.) mamy piękne
projekty: budowanie hali, w
której będzie można prowa-
dzić badania na skalę zbliża-
jącą się do nowej techniki,
potrzebna nam jest rozbudo-
wa laboratorium w zakresie
badań biochemii, drobnoustro-
jów i kilka jeszcze in-
nych inwestycji. Im bowiem
życie będzie szło bardziej na-
przód, tym większe zadania
wyrósł przed mikrobiologią.

— I na zakończenie może
zechce Pani Profesor powie-
dzieć słów parę o perspekty-
wach tej tak pożytecznej dla
człowieka nauki?

— Jednym z kierunków po-
szukiwań jest zaspokajanie
nieobrotu białka w żywności.
Poszukiwania te prowadzą się
w wielu krajach. Zmierzają
one m. in. do wydzielenia
drobnoustrojów, które synte-
tyzują białko — a nawet okre-
ślone aminokwasy — wyko-
rzysztując do tego celu tanie
źródła cukru i nieorganiczny
azot np. jako sole amonowe.
Mikrobiologia, jak żadna mo-
że inną z nauk przyrodni-
czych, związana jest silnie z
organizmem żywym. Ona też
pełni jak najbardziej bezpo-
średnio funkcje służebne
wobec człowieka, badając prze-
miany jakie zachodzą w gle-
bie, w wodzie i w całym na-
szym otoczeniu.

ROZM. K. WYRZYKOWSKA

„O dwóch takich
co
ukradli księżyc“

Po sukcesie „Awantury o Basie” i nieco mniejszym powodzeniu „Szatana z siódmej klasy” (oba filmy reżyserowała Maria Kaniewska) ktoś napisał, że „Makuszyński” zaczął się najbardziej filmowym z polskich pisarzy”. Po premierze „Krzyżaków” ktoś inny coś podobnego stwierdził o Henryku Sienkiewicz. Nie wdaję się w dyskusję, czy powieści Makuszyńskiego są bardziej filmowe od powieści Sienkiewicza lub na odwrót, wypadu stwierdzić o porównaniu „DWOCH TAKICH, CO UKRADLI KSIEŻYC”, ze o sukcesie filmu opartego na powieści lub innym utworze literackim nie decyduje dość względne pojęcie filmowości danego utworu, a po prostu umiejętność adaptacji i zastąpienia literackich środków wyrazu filmowymi. Nie udało się tej sztuki dokonać reż. Naleckiemu z powieścią Poroszyńskiego „I TY ZOSTANIESZ INDIANINEM”, nie udało to również reż. Janowi Bałtoremu z rzekomo „filmową” powieścią Kornela Makuszyńskiego.

Podobnie i w obu adaptacjach dokonanych przez reż. Marię Kaniewską było wiele z atmosfery powieści Makuszyńskiego, z jego humoru i skroboci umiłowania ludzi, lecz film reż. Balogora jest utworem obcym pierwowzorowi. Detrackiemu autora „Panny z mokrą głową”: Źródło niepowodzenia nowego filmu oparłem na powieści Makuszyńskiego należy chyba dopatrywać się przede wszystkim w scenariuszu. Pomimo wielkiego szacunku, jakim autor nilejszej recenzji darzy Jana Brzechwę, trzeba niestety przyznać, iż debiut w pełnometrażowym filmie fabularnym autora „Kaczki-Dziwaczki” i „Pana Drupa” i jego „bryły” nie wypadł zadowalająco.

Niezbyt szeroko było zastosowano pewne rekwizyty jak np. kłosa w "Wielkim cięciu". Wzrost aktorów — szalenie różny — Łeka + Placka. We wspomnianej deformacji, która wielokrotnie wybiera charakter postaci reżysera i scenarzysty, w chci dorównano pod tym względem gatunkowi nie najlepszymu filmowi też Mozdziszkiego „Historia żółtej cieniarki”, dziecko — widać gubi się w kolejach akcji, która powinna być najłatwiejszą warstwą filmu. Traci na nim również tempo narracji, szczególnie w drugiej części. O kreacjach aktorskich w normalnym tego słowa znaczeniu w filmie też. Babrego mówić raczej nie można. W większości poza Ludwikiem Benoit i bliźniakami, Leszczym i Jarkiem Kaczyńskimi, role pozostałych aktorów ograniczają się do krótkich epizodów i do noszenia barwnych, wymyślnych kostiumów.



„ZMARTWYCHWSTANIE“

Pół roku temu wyświetlano u nas pierwszą część filmowej adaptacji powieści Lwa Tolstoja dokonanej przez reż. Michaila Szwej-

cera. Niżej podpisany pisał
wtedy o słusznej koncepcji
filmowej adaptacji „ZMAR
TWYCHWSTANIA”, o pew-
nych dramaturgicznych na-
dach filmu, podkreślił świe-
tą kreację aktorską Ta-
mary Sieminy w roli Katii.
Trzeba na wstępie przyz-
nać, że druga część „Zmar-
twychwstania” nie ustępuje
pierwszej pod względem ar-
tystycznego przetranspono-
wania dzieła Tolstoj na
język filmowy. Pierwsza
część była udana ekspozy-
cją do rozegranego w dru-
giej części dramatu psycho-
logicznego pary głównych
bohaterów. Proces przemia-
ny psychicznej Katii i Nie-
chludowa reżyser ukazał po-
przez ich szczegółową ana-
lizę psychologiczną. Film
Szwajcera nie mówi o ab-
strakcyjnym pojęciu dobra
i zła, nie gubi się w filo-
zoficznych rozważaniach na
temat ludzkiej moralności,
lecz ukazuje bohaterów w
konkretnym działaniu. Nie-
chludow zmienia się psy-
chicznie podczas długotrwa-
łych starań o rewizję proce-
su i uwolnienie Katii,
która odnajduje wiarę w
siebie w więzieniu, w zet-
knięciu z więźniami polity-
cznymi.

mówym, w którym reżyser
 bardzo dobrze poradził so-
 bie z przekazaniem war-
 tości pierwowzoru literac-
 kiego. I tu można by zna-
 leźć mankamenty jak cho-
 ciażby zbyt liczne posługi-
 wanie się tekstem literac-
 kim, w narracji odautorskiej,
 zbyt nachalnie wyjaśniają-
 cej psychiczne zmiany za-
 chodzące w bohaterach. Na-
 tomiaś świetnie rozegrał,
 niektóre sceny zbiorowe, jak
 np. znakomita w swej eks-
 presji scenę odwiedziny w
 więzieniu. Idealna odtwór-
 czynia roli Katii pozostaje
 nadal w drugiej serii Ta-
 mara Semina – bezpośred-
 nia, przekonująca i wzru-
 szająca swa kreacja aktor-
 ska. O wiele lepiej zagrał
 tym razem rolę Niechludo-
 wa Eugeniusz Matwiejew,
 stwarzając prawdziwą po-
 stać człowieka przeżywają-
 cego konflikt sumienia.

Otrzymałmyś dzieło filmowe o ludzkich namiętnościach, utwór głęboko humanistyczny, prawdziwy, w którym udało się reżyserowi przekazać, a nawet zaktywizować znane i stare problemy i przybliżyć je współczesnemu widzowi.

A. N.

Ciekawe odczyty o filmie

W sali Muzeum Sztuki, Łódzkie Towarzystwo Naukowe organizuje cykl interesujących odczytów pt. „Nowe sprawy sztuki filmowej”. Odczyty te opracował zespół Zakładu Wiedzy o Filmie UL.

4. XI. br. — mgr E. Nurczyńska — „Czy film zastąpi lekturę w klasie szkolnej?“

11. XI. br — mgr. P. Wert
— „Telewizja wyzwala sztukę filmową“.

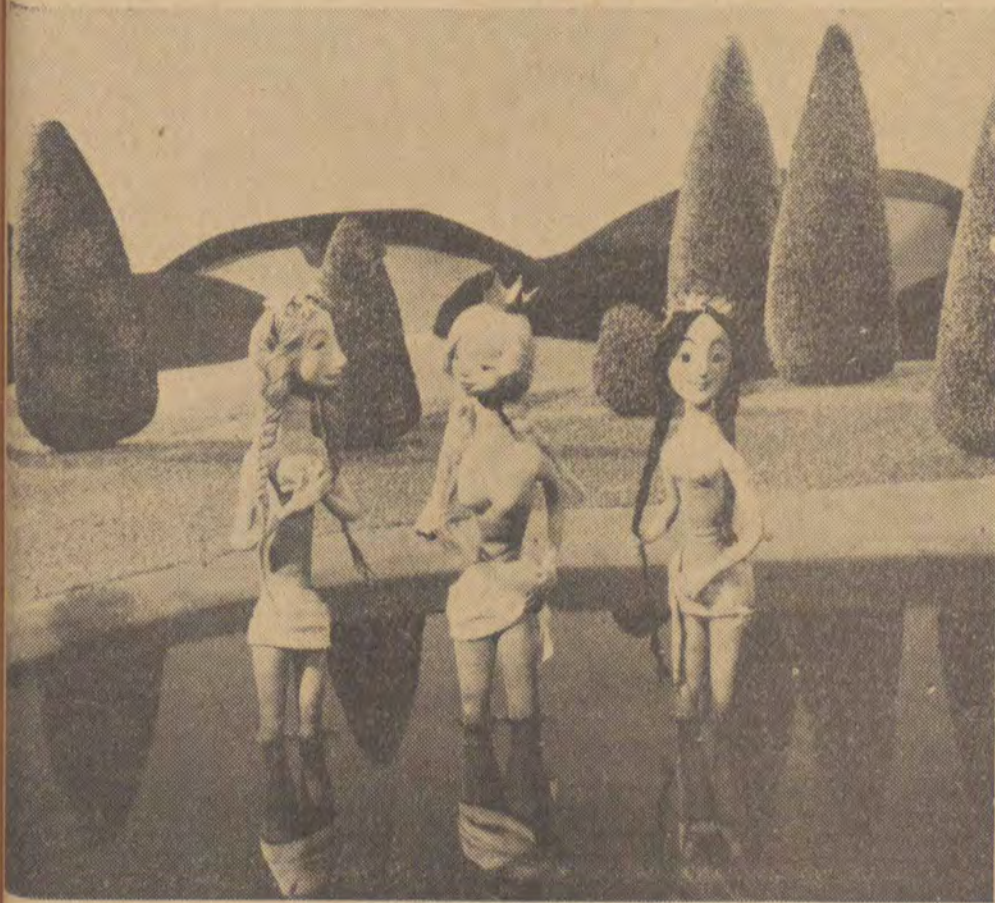
18. XI. br. — mgr M. Kornatowska — „Nowe tendencje romansów ekranowych“.

25. XI. br. — mgr E. Siemińska — „Współczesny film polski toruje drogę literaturze“.

2. XII. br. — mgr E. Na-
górska-Litwińska: „Czas o-
chronny dla historii filmu“

Czytelników „Mieszanki filmowej“ zapraszamy na wysłuchanie tych ciekawie zapowiadających się odczytów.

W stosunku do pierwszej serii, mającej jak już wspomniałem cały szereg dramaturgicznych potknięć (m. in. nadużywanie retrospekcji) druga seria „Zmartwychwstania” jest dziełem fil-



Dalszy ciąg ze str. 1

GODZINA OCZEKIWANIA CZYLI LUDZIA W AKCJI

Przed plebanią — spora gromadka dzieci. Pewnie spieszą na lekcję religii. Jedną z dziewczynek informuje nas:

— Trzeba wejść po schodkach i zapukać do tych drzwi. Wtedy wyjdzie ksiądz i wpuści do środka...

Stoimy przed drzwiami dość długo. Nikt nas jakoś nie wypuszcza, choć już od dobrych pięciu minut pukamy i naciskamy elektryczny dzwonek.

Wreszcie w drzwiach ukazuje się energiczna kobieta w średnim wieku.

— Słysz, że ktoś dzwoni, myślałam, że ksiądz dziekan jest u siebie, a on pewnie poszedł się przespacerować, żeby odpocząć, bo tyle ma pracy. Proszę, proszę, państwo pozwól. A nadymano tu! Tytu ludzi od rana, każdy pali, ksiądz dziekan też kopci jak parowóz. O, ile to niedopalków...

Oszolomieni tym potokiem słów, siadamy skromnie na krzesłach w kancelarii plebanii. Kobieta podchodzi do okna, otwiera je i pokrzykuje:

— Gdzie ksiądz idzie?! Niech ksiądz prędko wraca, bo tu ktoś czeka...

Wygląda na to, że kiedy pukaliśmy do drzwi, ksiądz dziekan był jeszcze w budynku. Teraz obszedł go dokoła i wyszedł na ulicę... Dlaczego?

Ale nie czas na refleksje, bo gospodyni przypomina nam o swojej obecności. Teraz nie plecie już trzy-po-trzy. Zadaje nam serię szybkich, konkretnych pytań: Skąd? Czym? O której godzinie? Specjalnie czy przy okazji? To tak późno na urlop? A dlaczego nie prosto z PKS-u? itp. itd.

Pod gradem pytań czuliśmy się trochę nieswojo. A nuż powiemy coś takiego, co wyda się gospodyni podejrzane i ksiądz nie zechce nas przyjąć? Odważyliśmy więc precyzyjnie każdą odpowiedź. I — jak się potem okazało — słusznie, bo gospodyni, słynna Ludzia — prawa ręka księdza dziekana — to prawdziwy „as wywiadu”.

Indagację przerywa dzwonek u drzwi. Zjawia się dwoje ludzi w sprawie pogrzebu. Jakaś wymiana zdań w przedpokoju, mężczyzna wychodzi, znikła gdzieś również gospodyni. Nie zostajemy jednak sami. Na wprost drzwi do kancelarii została bowiem usadowiona przybyła kobieta. Czujemy na sobie jej wzrok...

Mija pięć, dziesięć minut, w kancelarii robi się coraz zimniej (dobrze, że wypiłismy gorącą herbatę!). Rozglądamy się po pokoju. Na ścianie krzyż: Pamiątka Św. Misji. Pod nim, na biurku, maszyna do pisania. Obok niej — plik listów. Na komputerze czytamy: „Przewieź na ksiądz kanonik dziekan Górę”. Pewnie to listy dziękczynne — za skuteczne porady. Nie wypada nam czytać. Tym bardziej że... mamy świadka.

— Proszę pani — pytamy siedzącą w przedpokoju kobietę — a ile właściwie ksiądz bierze za wizytę?

— No... tak, co łaska...

— Al- chyba się nie obraża, jak mu się nie daje zbyt dużo?

Zamiast odpowiedzi — pogardliwe wzruszenie ramion. I zaraz potem kobieta wychodzi. Czekaliśmy nie wiadomo na co, i nie wiadomo dlaczego poszła...

Mija kwadrans, pół godziny... Z nudów zaczynamy szczegółowej oglądać kancelarię. Na szafie dostrzegamy dwie różdżki: jedna z leszczyny, druga z drutu. Na etażerze leży czarny zeszyt z napisem: „Książka chorych pow. kolskiego”. Czyżby statystyka potrzebujących pomocy lekarskiej? Zaglądamy do środka. Nie, to tylko ujęty w rubryczki spis dzieci, które przystąpiły do komunii...

Nagle drętwiejemy, bo przez dziurkę od klucza jak grom wpada do kancelarii

donośny głos gospodyni:

— Co?! Ksiądz dziekan jeszcze nie przyszedł?

— Ano nie.

W końcu jednak dają się słyszeć na ganku energiczne kroki, rozlega się zgrzyt klucza i w kancelarii pojawia się ksiądz. Przechodząc szybko przez pokój, bąka coś na nasze powitanie — ni to pochwalony, ni to dobry wiecór — po czym znikła w przyległym pokoju.

Ten czy nie ten? — zastanawiamy się głośno. Przez dalsze dziesięć minut nic się nie dzieje, aż wreszcie drzwi się otwierają i wchodzi ten sam ksiądz, tylko że już w samej sutannie, bez płaszcza i beretu.

Zamyka okno i zacierając ręce pyta:

— No, to kogo mam badać? Panią, czy pana?

dy działają. Ja jestem uwróżliwiony w tym kierunku...

— ... Proszę pani. Na to oskrzela to musi pani nosić na szyi miedziany drut. Takie kółeczko, żeby był obwód zamknięty. Od dzwonka? Też może być. Lepiej bez izolacji. Ten drut będzie panią chronił na trzydzieści trzy centymetry... Bo to wszystko jest z atmosfery. Zawaly są tylko przy niżu. Jakaś zmiana pogody i już pani źle się czuje. Będzie pani od tych wpływów bezpieczna. Na drucik może pani sobie założyć koraliki. Teraz bardzo modne...

— ... O, miedź, proszę państwa, jest bardzo zdrowa. Po dawałem nawet o tym do pism stołecznych. „Miedź — droższa od złota”. Nie wiem, czyście czytali...

— ... Do wewnątrz niech pani zażywa dziurawiec i

Relacja wizyty byłaby niepełna, gdybyśmy nie napisali tu o naszych osobistych obserwacjach i odczuciach. A że człowiek aktualnie badany nie jest w stanie jednocześnie oddawać się obserwacji (a przecież ona była głównym celem naszej wizyty) — kwitujemy nasze wrażenia osobno.

OKIEM AUTORA

Podczas badania Ady całą uwagę wyteżyłem najpierw w kierunku rozszyfrowania techniki stosowanej przez księdza. Gdy „wyjaśnił”, dla czego i kiedy buja się „serduszek”, korzystając z chwili nieuwagi księdza, natychmiast podstawiłem pod nie

male trawę, ksiądz stwierdził „obstrukcję i zapalenie”. Nie stwierdził natomiast przebytej gruźlicy płuc, która przecież pozostawiła w klatce piersiowej (odma, przepalanka) ślady żenująco łatwe do wykrycia dla każdego lekarza.

— A może powiesz księdku o swoich stanach lekowych? — wrabiałam beczelnie Michała. Roześmiał się i nie mniej beczelnie powiedział: — No tak. Wie ksiądz, jak sobie wypiję, to mi takie ciennie zabiegają z boku...

Ksiądz posadził pacjenta na krześle, stuknął go palcem w czoło i autorytatywnie stwierdził początki epilepsji.

— Tu pan ma bóle głowy — powiedział.

— Tak, mniej więcej raz na kwartał, gdy się nie wys-

zedzi przybywać pacjentów z pobliskich województw: bydgoskiego, opolskiego, wrocławskiego, łódzkiego, warszawskiego. Do dziś izbički uzdrawiać ma pełne ręce roboty.

Porad nie udzielał ksiądz „za bóg zapłać”. Tak zwane „co łaska” wyrażało się często kilkoma setkami. Nie więc dziwnego, że od chwili przybycia do Izby ks. Górę posiadał kolejno cztery samochody (dwa „Moskwice”, eksportową „Warsawę” na bytą za dolary, a ostatnio — czerwoną „Octavię”).

Za jakieś uchybienia w pracy duszpasterskiej władze kościelne w 1961 roku odebrały ks. Górę funkcję dziekana. Jednakże ks. Górę kocha mity i nadal tego tytułu używa. Sami słyszeliśmy, jak mówił do telefonu: „Tu ksiądz dziekan, słucham”...

OKRUTNE DIAGNOZY

Na pozór wszystko to wygląda dosyć śmiesznie i niewinnie. Jednakże sprawa nie kończy się tylko na wyciąganiu pieniędzy z ufnych i naiwnych. Diagnozy stawiane przez ks. Górę bywają nie raz okrutne. Często straszy on ludzi rakiem, którego nie wykrył u nich. Nie trzeba chyba wielkiej wyobraźni, by zrozumieć, jak tego rodzaju orzeczenia działają na ludzi. Jeden z lekarzy opowiadał o pewnej dziewczynie, którą ks. Górę „leczył” na raka, aczkolwiek chorowała na wtręt. Dziewczyna była kompletnie wyčerpana — fizycznie i psychicznie. Wyleczono ją dopiero w ośrodku zdrowia.

Nagromadzenie podobnych faktów spowodowało, że ks. Górę wytoczono w Kole proces o bezprawne leczenie, czyli o uprawianie znachorstwa. Pierwsza rozprawa odbyła się w 1960 roku: ks. Górę, który już uprzednio miał sprawy w kolegium karno-administracyjnym, skazano wówczas na 6 miesięcy aresztu z zawieszeniem i 8 tys. zł grzywny. Sąd Wojewódzki w Poznaniu wyrok tego nie zatwierdził, dopatrując się uchybień w prowadzeniu procesu i przesłał sprawę do ponownego rozpatrzenia. Wyznaczano potem różne terminy, ale do zakończenia procesu już nie doszło. Sprawa gdzieś tam utknęła i do dziś o niej cicho.

Odnosi się wrażenie, że izbički ksiądz — znachor działający na zasadzie jakiejś ulgowej taryfy. Bo przecież do dziś zupełnie bezkarnie ks. Górę przyjmują licznych pacjentów. Bywa, że dziennie przejeżdża do niego po kilka dziesiąt osób. Wiele z nich własnymi (a może i służbowymi?) samochodami. Czyżby władzom powiatu wystarczała świadomość, że mimo to ludność już rozszyfrowała ks. Górę i nie korzysta z jego porad? Czyż nie zdają one sobie sprawy z tego, że izbički szarlatan jest czarna plama na opinii całego powiatu? Ze sławą, jaką mu przynosi w ostatecznym rachunku nie jest pozytywna.

Aż dziw, że do tej pory nikt na serio nie wziął się do ukrócenia tych szalbierskich praktyk. Wprawdzie wydział finansowy wyznaczył ks. Górę dość wysoki domiar od dochodów „z leczenia” (za ub. rok ksiądz zapłacił z tego tytułu 17.000 zł), ale nie jest to chyba sposób zwalczania znachorstwa. Co najwyżej — jego zalegalizowanie.

Wydawałoby się, że zdecydowaną wojnę izbickiemu szarlatanowi winni wypowiedzieć przede wszystkim lekarze. Prawda, niektórzy z nich już od dawna domagają się ukrócenia jego znachorskich praktyk, oburzają się na jego diagnozy, oskarżają go o utrudnianie prowadzenia oświaty sanitarnej wśród ludności itp. Są to jednak jakby głosy wołające w puszczy. By zrozumieć to, wystarczy porozmawiać z kierownikiem Wydziału Zdrowia PRN w Kole. Opinia, jaką nam wygłosił na temat ks. Górę, była wprost rozbijająca.

— To są, proszę państwa, poważne sprawy — powiedział m. in. — Już Niemcy podczas wojny wykorzystywali radioteleję (różdżkarstwo) do swoich celów. Ksiądz Górę



TO WSZYSTKO JEST Z ATMOSFERĄ...

W prawej ręce ksiądz pojawia się metalowy ciężarek w kształcie stożka, podstawą umocowany do krótkiego łańcuszka (ksiądz nazywa to: „serduszkem”).

— A więc pani? Dobrze. Proszę zdjąć płaszcz. Niech pani da rękę. Niech pani o-prze palce o blurko. Najpierw zobaczymy, czy wszystka krew jest dobra. Oho, u pani jest mało czerwonych ciałek. Idź o zakład, że jest najwyżej trzy sześćset, a powinno być cztery i pół... O, widzi pani? Serduszek chodzi...

... Pana interesuje, jak to się dzieje, że ono chodzi? Ja to panu zaraz wytłumaczę. To wszystko jest oparte na prawie fizyki. Kobiety są plusy, mężczyźni minusy. Niech pan da prawą rękę — dłoń o górę. O, widzi pan, nad nią serduszek nie chodzi. A daj pan lewą. O, proszę, chodzi. Płec wskazuje... A u kobiet — odwrotnie. Nad prawą będzie chodzić. O, widzi-cie?

... Ja wszystko wiem, gdzie co jest. Tam gdzie są komórki i prądy nie przechodzą. Następuje kumulacja elektronów, zbierają się na czubku i wtedy chodzi. O, co u pani jest z wtrętą... I z woreczkiem żółciowym. Pani nie znosi zapachu benzyny. I jak tak w samochodzie buja, to pani jest mdła...

... O, kaszelek? Mówi pani, oskrzelowy? Zaraz zobaczymy. No tak! Zadyszka. Szybko pani się męczy. Taka okazała kobieta, a choruje...

— ... Z różdżką jest tak samo. Zaraz wam pokażę. Wie pan, co to jest magnes? Różdżka też ma plus i minus. Jak zbliżyć bieguny do siebie, to przestają przyciągać końce, a przyciąga tylko środek — ten czubek. Bo na nim zbierają się elektrony...

— ... Zaraz sprawdzimy.

Niech pani trzyma różdżkę z jednej, pan z drugiej strony, a ja chwycę obok. Teraz niech się pani połączy ze mną czymkolwiek. Może być stopa. A pan niech położy mi rękę na ramieniu. Obwód musi być zamknięty, bo by prądy nie szły... Teraz dotykam miejsca zdrowego i — nie. A teraz chorego i proszę — różdżka wskazuje... Dlaczego tak mocno? Bo to prą-

herbatę ze słomy owsianej. Pościąg nożyczkami i zaparzy pod spódnikiem. Niech pani pije syrop żywokostowo-podbiałowy. Jest w aptece. A dopiero potem, jak się pani przyzwyczali — to sosnowy. I niech pani śpi na brzośnie. Ale najważniejszy — to ten drut. Bez tego nie podjąłbym się pani leczyć. Niech tylko pani ten drut ponosi, a przyjdzie mi pani podziękować... Bez tego drutu to się może rzucić na płuca...

— ... Pan by się też chciał zbadać? Nie trzeba pytać, niech pan da rękę. O, pan ma cztery osiemset ciałek czerwonych. Dobra krew! Tu pana boli, jak naciskam. To dwunastnica. Stolec pan ma nienormalny, co dwa — trzy dni występuje obstrukcja. Zapieka się i wtedy te ekstra męty uderzają do góry...

— ... Mówi pani, że mąż ma stany lekowe? Zaraz zobaczymy. To głowa. Śladaj tu pan na krześle. Tu często pana boli — przód głowy. O, to poważna sprawa! Początki epilepsji. Lubi pan jeść wszystko kwaśne. Niech pan pije to samo, co żona, i jeszcze do tego krople brzozowe...

* * *

Musimy tu wyjaśnić, że aczkolwiek staraliśmy się oddać jak najwierniej to, co mówili do nas ks. Górę w czasie badania, to jednak pewne partie „monologu” opuściliśmy. Niektóre bowiem wywody były tak bektotliwe, że mimo wysiłków nie mogliśmy uchwycić sensu zdań. Co ciekawsze, zdania takie padały zwłaszcza wtedy, kiedy chodziło o odpowiedź na jakieś konkretne pytanie. Np. wskazując na znaczek z napisem SWP przy piety do sutanny, ksiądz pochylał się, że jest wynalazcą. Zaciekało nas, co wynalazł. Padła odpowiedź:

— A, to chodziło o metodę radioaktywną (tu bektot), ale to już inne sprawy...

Podobnie bektotliwymi wyjaśnieniami skwitowaliśmy pytania: Jak leczyć epilepsję? Co robić, by schudnąć itp.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że również bektotem zostało skwitowane pytanie: Ile się należy za wizytę?

Daliśmy 50 zł

lewa dłoń. Metalowy wisiołek mi drgnął, choć przed chwilą — w identycznej sytuacji — „wskazywał” płec i wahał się nad moją ręką. Stało się więc dla mnie zupełnie jasne, że wisiołek buja się wtedy, kiedy ksiądz widzi i chce, żeby się bujał. Teraz pozostało ustalić, co faktycznie wprawia go w ruch i co zatrzymuje. Odkryłem wkrótce, iż są to ledwo dostrzegalne ruchy prawego ramienia. Zatrzymywanie zaś był nagłym poderwaniem do góry lub otarciem o sutannę... Czyli, że „elektrony kumulowały się” bynajmniej nie na czubku wisiołka, lecz w księzowskim ramieniu i... głowie.

Zadowolony z tych odkryć, zwróciłem baczniejszą uwagę na lewą rękę księdza. Błądziła ona właśnie — nie taże — dość lubieżnie, kragłymi ruchami po piersiach pacjentki. Trwało to dość długo, choć wisiołek nie wskazywał w tym miejscu schorzeń. Potem ręka powędrowała niżej, „wykryła” chorą wtrętę i „wrażliwość” na benzynie (tu ledwo wstrzymałem się od śmiechu, bo Ada ma wtrętę zdrową, przepada za jazdą na motorze i autem, a benzyna nigdy jej nie szkodziła).

Tymczasem lewa dłoń ks. Górę „badala” dalsze partie ciała pacjentki. Kiedy zatrzymała się w pewnym miejscu zbyt długo (choć wisiołek — przy najmniej ten na łańcuszku — nie wykazywał żadnych drgań), Ada która dotąd stała z cudownie głupią miną ofiary — dostała gwałtownego ataku kaszlu. Wtedy księdku nie pozostało nic innego, jak „odkryć” chore oskrzela. A że uprzednio wisiołek nie wykazał żadnych schorzeń w klatce piersiowej, oskrzela zostały „zbadane” na ramionach...

OKIEM AUTORKI

Badanie Michała trwało o wiele krócej niż moje i wyglądało przekomicznie. Michał jest wysoki, a ksiądz dość niski. Najbliższe było więc księdku do dwunastnicy, którą wnet uznał za chorobę. Dźgnął pacjenta palcem w dołek i stwierdził: „Tu pana boli”, przy czym wisiołek odtańczył rytualną rundę.

U człowieka, który dosko-

pie. Ale po proszku mi przechodzi...

Ksiądz z niebywałą lekkością powiazał owe „epileptyczne” bóle z dwunastnicą i rzekł:

— Nic, tylko by stałe pan jadł kwaśne i ostre potrawy. Przepada pan wprost za kwaśnym...

Michał, który nie znosi kwaśnych potraw, a na o-górki kiszzone patrzeć nie może — wykrzyknął z radosną satysfakcją:

— O, tak! Przepadam zwłazsza za dobrze ukwaszonymi ogórkami...

Dobrze, że nikt w tej chwili na mnie nie patrzył — dusiłam się wprost ze śmiechu.

Z UNIEJOWA DO IZBY

Tak powoli — z tego, cośmy usłyszeli i zaobserwowali — wylaniał się obraz szarlatana. Małego szarlatana — niezbyt sprytnego i niezbyt inteligentnego — żerującego na ludzkiej naiwności. Chcieliśmy jednak skonfrontować nasze bezpośrednie spostrzeżenia z opinią miejscowych władz.

W Kole — stolicy powiatu — dowiedzieliśmy się o ks. Górę niezwykle ciekawych rzeczy. Osoby, u których zasięgalismy informacji, zajmują poważne stanowiska i w pełni zasługują na zaufanie. Ludzie ci podawali nam zresztą jedynie fakty sprawdzone i ogólnie tu znane.

Władysław Górę przybył do Izby z Uniejowa w 1958 roku. Praktykę „lekarzką” rozpoczął wkrótce po przyjeździe. Początkowo miejscowa ludność chodziła do niego gromadnie i bezkrytycznie stosowała się do jego porad. Prawie wszyscy nosili wtedy w Izbie i okolicach miedziane druciki, po pijali herbatę z owsianej słomy i mościli sobie posłania brzożowymi galązkami.

Być może właśnie ów bardzo ubogi repertuar zaleceń przez księdza leków sprawił, że miejscowi pacjenci rychło się księdem rozczarowali. Znikły miedzia ne obrączki, a owsiana herbata popija uporczywie do dziś podobno tylko jeden człowiek w Izbie.

Nie znaczy to jednak, że księdku Górę zabrakło kien tel. Głupich nie sieją. Za-



Z piosenką jest nam wesoło

Nie będę rozdzierał szat nad brakiem umuzykalnienia naszego społeczeństwa. Nie będę ubolewał nad muzycznym analfabetyzmem naszej młodzieży. Nie będę — ponieważ robili to już inni przede mną, nawiasem mówiąc, bez skutku. Fakt, że „słoń nam nadeptało na ucho”, że nie jesteśmy rozśpiewani, od dawna stanowi problem i to chyba nie z rzędu tych ostatnich.

Dlatego nie można pominąć ładnego jubileuszu imprezy, której na imię „Spotkanie z piosenką”. Ubiegłej niedzieli odbył się w sali MDK setny koncert tego cyklu. Warto zatem przypomnieć początki. Otóż w lipcu 1960 roku redakcja „Expres-

su” podjęła tę ryzykowną inicjatywę, w której powodzenie bogiem, a prawdą nie bardzo wierzone. Okazało się jednak, że spotkania zrobiły furorę w skali całego kraju. I właśnie w tym aspekcie warto chyba mówić o „łódzkiej inicjatywie”. Okazało się bowiem, że brakowało tylko pomysłu i organizacji, że nie jesteśmy wcale aż tak bardzo głusi, że nie boimy się śpiewać publicznie, że piosenka jest nam widać potrzebna, skoro na cotygodniowych spotkaniach frekwencja waha się od 300 do... 1500 osób.

Dlaczego piszę o skali całego kraju? Otóż inicjatywę „Expresu” (popartą przez Wydział Kultury w Łodzi i Łódz-

kie Towarzystwo Muzyczne) podjęły inne ośrodki. Podobne spotkania odbywają się od miesięcy w Szczecinie, Poznaniu... Ostatnio tygodnik „Nowa Wieś” rozpoczyna cykl spotkań z piosenką w ośrodkach wiejskich.

Słowem, akcja została dość skutecznie „rozhuśtana”, w chwili obecnej można już mówić o setkach piosenek i tysiącach uczestników. Tak jest — nie widzę, a właśnie uczestników, bowiem charakter koncertów niejako zmusza do czynnego udziału i drugi ważny aspekt zagadnienia. Spotkania propagują piosenkę polską. Nie jest ona co prawda zawsze najwyższej klasy, ale jej rola w ostatnim potopie pseu-

do — zagranicznych big-beatowych zaśpiewków jest z pewnością pozytywna. Zresztą jeśli mowa o łódzkich spotkaniach, to wylansowały one kilka naprawdę niebanalnych utworów. Wylansowały również niezłego piosenkarza Mieczysława Woźniakowskiego, który w początkowym okresie imprezę prowadził.

Akcja „rozśpiewania kraju” ma powodzenie. Ma powodzenie w Łodzi, w Ożorkowie (15 koncertów), Zgierz (12 koncertów)... Podobnie zresztą spotkania szczecińskie czy poznańskie odbywają się także poza stolicą województwa, w miastach powiatowych i osadach. Wszędzie jak Polska długa i szeroka — publiczności na koncertach zatrzęsienie. Najwięcej oczywiście młodzieży szkolnej. Tej młodzieży, dla której Filharmonie w ramach tzw. umuzykalnienia organizują raz w miesiącu koncerty. Niestety, zupełnie

niepopularne wśród młodzieży. Może są one zbyt „dretowe”, a może po prostu zbyt trudne? Właśnie. Może zbyt trudne. Zrozumieli to zdaje się organizatorzy „Spotkań z piosenką”, którzy twierdzą, że „nie można do młodego, nie wyrobionego słuchacza przyjąć od razu z Lisztem czy Chopinem — najpierw trzeba mu dać „Walczek na cztery ręce”. Dlatego określenie „przedszkole muzyczne” jakie usłyszałem w odniesieniu do „Spotkań” wydaje się zupełnie słuszne.

Takie przedszkole nam, którzy z ochotą i przy szczytnych okazjach śpiewamy prawie wyłącznie tylko „sto lat” i „Góralu, czy ci nie żal” jest z pewnością potrzebne. Z jednym oczywiście warunkiem: że na tym nie skończy się nasza muzyczna edukacja.



JERZY SIDOROWICZ

Dokończenie ze str. 1

dzie wozy wdzięczne nagietki, ale sam wóz był zaśnieżony i nie sprzątnięty chyba od paru dni.

Wyszedłem przy placu Kościuszkim tuż przy tablicy ogłoszeń. Wzrok mój przyciągnęły dwa afisze: pierwszy — zapowiadający imprezę rozrywkową pt. „Fog and rock”, z charakterystycznym dopiskiem: „Prosimy o liczny udział społeczeństwa miasta Tomaszowa” (no patrzcie, nawet Fog i rock już nie wystarczą!) i drugi — zachęcający do uczestnictwa w imprezie (cytuje) „hodowlano-sportowej Państwowego Ślada Ogierów Bogusławice”, w której przewidziany jest między innymi kadryl ogierów.

Szedłem placem Kościuszkim, ubolewając nad faktem, że nasze ogłery trzymają się trądy i nie tańczą rocka ani twista. Rychło jednak porzuciłem te myśli, zwłaszcza że skierowałem swe kroki do tak nobliwej instytucji jak Komitet Miejski Związku Młodzieży Socjalistycznej. Spodziewałem się tu dowiedzieć czegoś na temat Klubu Młodych Literatów, o którego istnieniu pisało już coś nie co w Łodzi.

Nie zawiodłem się: Członkowie Komitetu skontaktowali mnie z przedstawicielem zarządu Klubu, kolegą Adamem Marcinem Puto. Przyznam się, że te dwa imiona młodego poety usposobiły mnie zrazu do niego sceptycznie. Wkrótce jednak przekonałem się, że jest to sceptycyzm nieuzasadniony. Mój rozmówca — uczeń technikum budowlanego — zwierzył mi się ze swych „życiowych perypetii”. Chce odejść z technikum i przenieść się do liceum ogólnokształcącego dla dorosłych, a następnie ukończyć studium nauczycielskie. W obecnej szkole czuje się źle, nie ma „powołania” na technika budowlanego. Zastosował coś w rodzaju „kuszenia świętego Antoniego” i zapytał kolegę Puto, czy zdaje sobie sprawę z tego, że jako technik budowlany mógłby więcej zarabiać i w ogóle lepiej się urządzić? Odpowiedział, że wie o tym, ale jest już zdecydowany: będzie nauczycielem. To oświadczenie nabiera wymowy dopiero w zestawieniu z innymi faktami. Kol. Puto, mimo młodego wieku, ma już za sobą debiut w antologii „Młoda wieś pisze”, drukował także wiersze w kilku dziennikach i tygodnikach. A nie powiedział, że będzie pisarzem. Będzie nauczycielem.

Jeśli idzie o sam Klub Młodych Literatów w Tomaszowie, jest on filią łódzkiego Korespondencyjnego Klubu Młodych przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW. Liczy sobie 24 członków i działa już od dłuższego czasu: w tych dniach obchodził skromny jubileusz — drugą rocznicę istnienia (na marginesie: zdys-tansował w ten sposób dwa ostatnie łódzkie Kluby Młodych, których żywot był znacząco krótszy). Członkowie Klubu spotykają się co środę w lokalu Miejskiej Biblioteki, która używa im gościnny, i omawiają swoje utwory, a także organizują prelekcje na temat z zakresu literatury współczesnej. Mimo iż wśród tematów prelekcji była również antypowieść, członkowie Klubu nie stoją bynajmniej na antyspołecznym stanowi-

sku. Mają stałe kontakty z zakładami pracy, starają się wylawiać nowe talenty, piszą nie tylko wiersze, ale i reportaż, nie stronią również od drobniejszych form dziennikarskich, jak artykuł, notatka prasowa, audycja dla lokalnego radiowęzła.

Inną sprawą, że tomaszowski Klub Młodych znalazł u siebie sprzyjające warunki pracy i rozwoju. Kierowniczką Miejskiej Biblioteki, z którą rozmawiałem najjużer o Klubie, wyrażała się o nim z dużym uznaniem (mimo, iż jego członkowie — wiadomo: młodzież poci — wnoszą zamęt do pracy Biblioteki). Miejsowy Wydział Kultury, zresztą bardzo aktywny, zorganizował nie dawno konkurs literacki poświęcony ziemi tomaszowskiej i leżycyckiej, w którym członkowie Klubu zdobyli szereg nagród. Konkurs nosił nazwę

tylko uda się go odpowiednio wyposażyć. Latem młodzież będzie brać udział w imprezach i festynach przy zaproszonej już muszli koncertowej, a jesienią i zimą uczestniczyć w zajęciach Miejskiego Domu Kultury, jeśli taki uda się zbudować.

Były wprowadzić pewne trudności z częścią „nastolatków”, którzy rozrabiali i popijali wino w kawiarniach, ale ZMS rozwinął przeciwdziałanie, zorganizował kawiarnie bezalkoholową i doprowadził do wprowadzenia w innych kawiarniach zakazu sprzedaży napojów alkoholowych młodzieży do lat osiemnastu.

W tych dniach jest na oko nieco gorzej, bo część młodzieży tomaszowskiej dostała karty do wojska i pije, ale czy jest taka miejscowość w Polsce, gdzie poborowi nie piją?

nie przeszkadza. Na ścianach kawiarni w kilku miejscach sakramentalne napisy: „Osobom w stanie nietrzeźwym oraz młodzieży do lat 18 sprze-daż napojów alkoholowych zabroniona”.

W kawiarni większość młodzieży jest nietrzeźwa, sporo nie ma na pewno lat 18. Ale kto tu będzie komu zaglądał w metrykę czy do głowy?

Wyszedłem z „Błękitnej” i zatoczyłem się u wyjścia, choć piliem tylko kawę (mam na to dowód w postaci rachunku). W pewnej chwili słaniałem jak wryty, bo zamrugał do mnie neon z napisem „Melinka”. Dopiero gdy podszedłem bliżej, zorientowałem się, że jest to neon sklepu cukier-niczego, Oczywiście „Malinki”, a nie „Melinki”.

W pokoju hotelowym przy-rzalem sobie uważnie: w zamglonym lustrze moja twarz

roku na rok lepszym. Niedawno oddano do użytku nowy lokal Miejskiej Biblioteki i Czytelni, którego adaptacja i wyposażenie kosztowały około 200 tysięcy złotych (zaglądałem tam, bardzo mi się podobało). Zakładowy Dom Kultury Tomaszowski Zakład Przemysłu Welnianego, mimo złych warunków i ciasnoty, pracuje bardzo dobrze (zaglądałem tam: sprostowanie nie to jest słuszne). Niezłe pracują również niektóre świetlice przyzakładowe — przykładowo świetlica Tomaszowskiej Fabryki Dywanów i Chodników. Oczywiście, Tomaszów powinien mieć już od dawna Miejski Dom Kultury, ale to oddzielny problem. Nie, nie jest to sprawa funduszy: pieniądze się znajdują. Jest już na ten cel około 9 milionów złotych, można również liczyć na „czynny społeczny” mieszkańców Tomaszowa (dzięki tym „czynnym” uruchomiono niedawno w Tomaszowie telewizyjną stację przekątnikową, o której mówi się z dumą, że ma nawet podwójną aparaturę). Rzecz w tym, że pierwotna dokumentacja Domu Kultury jest za droga — wszystko rozbija się właśnie o tę dokumentację. Architekt miejski, który miał ją przeprowadzić, w końcu odeszedł i rzecz utknęła na martwym punkcie. Zdaniem towarzyszy z Wydziału Propagandy, trzeba do tej sprawy na nowo podejść i ją rozkredł.

Jeśli idzie o tak zwaną trudną młodzież, która dorasta, a nie uczy się i nie pracuje, jest to najczęściej młodzież napływowa, którą przyciąga do siebie większy ośrodek miejski, a która podrywa swym zachowaniem dobre imię młodzieży tomaszowskiej. Pewnie, że ZMS powinien dotrzeć również do tej części młodzieży, może rozpisac wśród niej ankiety, może zająć te kawiarnie i zapytać te młodzież, jakich ona chce rozrywek i zajęć kulturalnych. Jest to problem ciężki, ale trzeba by się nad nim zastanowić.

Przez resztę drugiego dnia pobytu w Tomaszowie chodziłem ulicami miasta pełen mi-azanych uczuć. No dobrze, powiedzmy, że zbuduje się nowy Dom Kultury. Ale dlaczego kilka z istniejących dotychczas świetlic przyzakładowych świeci pustkami, mimo że są na ich prowadzenie środki finansowe (słyszałem coś na ten temat o świetlicy Tomaszowskich Zakładów Włókien Sztucznych i świetlicy Zakładów Przemysłu Welnianego imienia Nowicki). Powiedzmy, że ZMS uruchomi wreszcie nowe placówki kulturalne: oddzielny ośrodek rozrywkowy dla młodzieży szkolnej, oddzielny dla robotniczej... Ale dlaczego te projekty nie mogą tak długo czekać na realizację?

W końcu jednak wrodzony optymizm wziął górę i pomyślałem sobie, że skoro w Tomaszowie jest z roku na rok lepiej, to za kilka lat będzie zupełnie dobrze. I o za-pech, proszę państwa. Właśnie w tej samej chwili z sąsiadującej z hotelem kawiarni „Błękitna” milicjanci; wyprowadzili jakiegoś młodzieńca, który zataczał się na nogach, wymachiwał pięścią i coś pokrzykiwał. Czarny charakter! Zepsuł mi nastój!

TADEUSZ GIGIER

RÓŻOWO-CZARNI W TOMASZOWIE MAZOWIECKIM



„dorocznego”, będzie więc kontynuowany, podczas gdy wiadomości kulturalne Łodzi nie zdobyły się dotąd na podobną imprezę ani razu.

Rozmowę o Klubie Młodych prowadziłem w lokalu ZMS. Jaką to sposobność, żeby zasięgnąć języka co do młodzieży tomaszowskiej, jej pracy, rozrywek, zainteresowań kulturalnych.

Otóż według opinii moich interlokutorów, „na odcinku młodzieży” daje się ostatnio zauważyć bardzo korzystne zmiany. Młodzież coraz chętniej garnie się do literatury, filmu, muzyki, korzysta z istniejących w Tomaszowie ośrodków życia kulturalnego (kawiarnie młodzieżowe, Zakładowy Dom Kultury) — i będzie z pewnością uczestniczyć do majowych powstań: „piwnicy dla młodzieży szkolnej” i „typowego ośrodka rozrywkowego dla młodzieży robotniczej”. Takim właśnie ośrodkiem ma stać się Młodzieżowy Klub ZMS, a je-

Wolałem uniknąć odpowiedzi na to pytanie i opuściłem lokal ZMS. Nadciągał już śpiesznie październikowy zmierzch i miasto przeistoczyło się prawie w jednej chwili. Zapłonęły jarzeniowe światła tu i ówdzie rozblisły neony. Razem z miastem przeistoczyła się tomaszowska młodzież. Zaroiło się od niej przy kioskach z piwem, przed knajpami, przed kawiarniami, gdzie nie dociera działalność ZMS. Wstąpiłem do jednej z takich kawiarni. Kawiarnia nazywa się „Błękitna” (chyba od zadymionej aury, zresztą bardziej szarej niż błękitnej). Przy stolikach niemal wyłącznie młodzież, na każdym stoliku butelka taniego wina, Kelnierki uwiązają się jak w ukropie i donoszą nowe baterie butelek. Wyskakują korki baterii dając ogień. Młodzież pije pod płynące z głośnika sentymentalne tanga („Już nigdy”, „Tango Notturno”) i chociaż jest zwołaniem gorących rytmów, wcale jej to

wyglądała również mocno zamglona... Zgasłem szybko światło i położyłem się spać. Nazajutrz wstałem trzęsawiej i starałem się równie trzeźwo rozumować. Jak jest właściwie z tym życiem kulturalnym w Tomaszowie? I jaka jest ta młodzież tomaszowska: różowa czy czarna?

Postanowiłem udać się z tym problemem w jeszcze jedno miejsce, chyba jak najbardziej odpowiednie: do Komitetu Miejskiego PZPR. Zwiastując, że Komitet ten mieści się naprzeciw hotelu.

Otóż według opinii moich interlokutorów (rozmawiałem z towarzyszami z Wydziału Propagandy), „na odcinku młodzieży” nie dzieje się w Tomaszowie źle. Dużo mówię o Klubie Młodzieżowym przy Komitecie Miejskim ZMS, młodzież garnie się do ognisk muzycznych, powstają nowe zespoły estradowe, teatralne itp. Jednym słowem, życie kulturalne jest w Tomaszowie na dobrym poziomie, z

ra tylko niepotrzebnie czasem tego nadużywa. Płoszy tych ludzi niepotrzebnie rakiem, przylatują tutaj wystraszeni, a to się nie potwierdza... Z tą młodzieżą to też jeszcze nie wiadomo, przecież na Zachodzie robią przeciwrumowatyczną bieliznę...

W wypowiedzi tej wyczuwało się nie tylko godzenie się z istnieniem podobnych praktyk, jakie uprawia ks. Góra, ale nawet — poparcie dla nich.

Przyznajemy, że po oficjalnym przedstawicielu służby zdrowia pow. kołskiego spodziewaliśmy się zgola innej postawy.

Nie poświęcalibyśmy izbiekiemu uzdrawiaczowi tyle uwagi, nie podejmowalibyśmy wyprawę mającej na celu zde-maskowanie jednego szarlatana — gdyby nie fakt, że ostatnio często dochodziły nas słuchy o działających tu i ówdzie różdżkarzach — znachorach. I rzecz charakterystyczna — w roli takich znachorów, posługujących się pseudonaukowymi metodami, występują najczęściej księża. W naszym województwie — gdyby dobrze poszukać — też by się kilku znalazło. Tyle, że swe praktyki prowadzą mniej publicznie i z mniejszym rozgłosem niż ks. Góra.

A na zakończenie dodajmy że nie negujemy bynajmniej ewentualnych korzyści, jakie radiostacja może — po wielu eksperymentach — w przyszłości przynieść medycynie. Uważamy jednak, że w tym wszystkim ważny — ale to bardzo ważny — jest jeden „drobiazg”: zależy, k to się tym zajmuje i w jakim celu to robi.

ADA JASKULSKA
MICHAŁ GALEWSKI

JERZY S. FELIKSIAK

KAWIARNIANA ROZMOWA

Nie przez łódzkie kawiarnie przebiega równik życia i nie każdemu szczęście przynoszą biedronki. Dlatego nie znam piosenki lekkiej jak baletnica. Wierzę ludziom, co znają zwątpienie i bronchit.

Na przedmiesciu tak łatwo o surowość i kompleksy. Więc daremnie się starasz, abym dziś uwierzył. Że można przed zmęczeniem poezją głowę opleść, Że do życia wystarczy alkohol i kszyc.

Różnie żyjąc, wchodzimy do więzienia ironii, Gdzie nie wolno już ufać poetom i biedronkom. Lecz ty jeszcze spokojnie lyżeczką w szklankę

A ja chyba rozwalę kawiarniane okno.

dzwonisz.



TESKNOTA ZA SŁONCEM

Zza horyzontu tabuny chmur
Powoli wyszły nad miasto.
Opustoszały plaże i skwery.
Sposepniał bruk.
Tęskni za słońcem laska
Tkacz i emeryt.

Dni są jak wilgoć na pstrej tapecie
Nie cieszą żadnym kolorem.
Już w parkach drzewa podnoszą bunt.
I słychać wszędzie
Jak chrzęści oręż —
Zieleni luk.

Ale dopóki topole i wiatr
Z chmur nie odrzebią nieba biedronce,
Jednoczymy się, jak nigdy od lat,
W wielkiej tęsknocie za słońcem.



OCIEMNIALI

Los im ze światła oczy okradł,
Ulicę zmienił w ciemny kanał.
Więc nie ścierają pary z okna
I nie przystają przy wystawach.

Żyją bez rewii i modelek.
Lecz mniej od widzów znają leż.
Lepszym niż człowiek przyjacielem
Musi być laska albo pies.

1961 r.

KRYSTYNA WOJTASIK

Mają różne twarze, młode i stare, takie, które coś mówią, albo zamknięte w sobie, albo ukrywające pod maską nonszalanckiego uśmiechu głębię (jaka by ona nie była) lub (może) bezmyślność. Niektórzy są ostrożni, ważą każde słowo, widzą że zależy im na tym, żeby „dobrze wypaść”, że czują się mniej lub więcej zażenowani i zakłopotani tą spowiedzią, inni mówią śmiało, właśnie z ową nonszalancją lub obojętnością. Najwyraźniej jednak stara ją się mówić szczerze.

Łączy ich jedno — wszyscy są pracownikami fizycznymi oraz wszyscy mówią na ten sam temat: jak spędzają wolny czas i jak chcieliby ten czas spędzać. Oczywiście nie są pracownikami jednego przedsiębiorstwa, poza kilkusetosobową grupą mieszkańców tego samego hotelu robotniczego. W sumie około 20 osób, w tym 2 kobiety. Tylko dwie, ponieważ kwestia wolnego czasu kobiet pracujących zawodowo i posiadających dzieci, a raczej kwestia braku tego wolnego czasu zarysowała się jako sprawa odrębna, specyficzna, nieporównywalna z „męskim” wolnym czasem.

Owe dwie kobiety, które prawem kaduka znalazły się w tej gromadce mężczyzn stanowią element nietypowy: jedna to młoda robotnica, której gospodarstwo domowe, łącznie z opieką nad dzieckiem, prowadzi ofiarna matka, druga ma lat 56, wnuki odwołują ją tylko w niedzielę i to nie każdą, mąż odszedł od niej już dawno, obiady jada w zakładowej stołówce. Wolne, naprawdę wolne wieczory spędza, już od 3 lat, przy telewizorze sąsiadki. To jedyna rozrywka jaką kiedykolwiek poznała i korzysta z niej z całą zachłannością człowieka, który przez całe życie nie miał okazji odpoczywać. Zapałem mówi o bajkach dla dzieci, jako o swych ulubionych audycjach i o... Znaku Zorro, którego czule wspomina, uśmiechając się przy tym filuternie.

Otóż Znak Zorro wspomina z rozrzewieniem nie tylko ona, stara sprzątaczką, na 18 wciagniętych do rozmowy osób, tylko dwie nie wymieniły tej pozycji jako ulubionej (w tym jedną zadając trafiającą w sedno pytanie: „Co to właściwie daje?”) powoli dorzucając jeszcze, jako atrakcyjne teleturnieje i transmisje meczów, obojętne jakiej dyscypliny sportowej. Ale najważniejsze jest to, że mimo woli, nieświadomie wymieniają oni telewizję jako formę rozrywki jak najbardziej oczywistą, powszednią, codzienną, prawie zawsze dającą jej pierwszeństwo przed kinem, które

jednak zachowało w znacznej mierze siłę przyciągania, i przed teatrem. Do kina chodzi się przecież na filmy, których nie dają w telewizji, chodzi się czasem, raz, a czasem i trzy razy na tydzień, zwłaszcza na westerny i filmy o tematyce wojennej, do teatru natomiast wcale, albo rzadko, korzystając z biletów rozdawanych przez zakład pracy. Chodzi się więc, choć rzadko, ale tytułów sztuk się nie pamięta. Marszcząc czoła, usiłują sobie je przypomnieć, ale najczęściej nadaremnie, choć to było nader niedawno. Jeden tylko wymienia „Ptak” Szaniawskiego, obdarzając go przy tym beznamiętnym epitetem „ładne”, dziwnym zbiegiem okoliczności wymienia go potem i drugi, ale ten nie potrafi się zdobyć na żadną ocenę. Poza tytułem nie-

peracji robotniczego widza, jej nateżenia uczuciowego i śladu, który po sobie pozostawia.

Równie małą popularnością, jak teatr, cieszy się wśród tej gromadki książka. Sięga po nią tylko dwóch, tylko dwóch mówi o niej, jako o formie spędzania wolnego czasu, również jednak nie potrafiąc wymienić tytułu ani jednej pozycji. Są to zresztą książki nie tylko beletrystyczne, ale również techniczne. Jeden ze starszych, zaspokajając dawne niespełnione tęsknoty, czyta teraz te książki z zakresem mechaniki wraz z synem, który kształci się w tym kierunku; chodzi również na odczyty na ten temat do MDK.

Ale wszyscy są zgodni, że równo zwolennicy książki, jak i transmisji meczu w telewizji, że jedną z najatrak-

oni
i ich
wolny



czas

wiele mu się utrzymało w pamięci z tego spektaklu. A stary portier, który właściwie nigdy nie chodzi do teatru, bo „przed wojną piekarnie były na chleb, a nie na teatr”, a teraz pracując wieczorami nie ma możliwości tam chodzić, płacze, że „tam tak ładnie, ładniej jak w kinie, bo tam można zobaczyć żywych ludzi”. Placze, bo system nerwowy ma zszarpany przez pięcioletni pobyt w Niemczech w czasie okupacji, ale jest w tym płaczu, cokolwiek jest jego przyczyną, jakieś szczerze pragnienie piękna. Ale portier jest odosobniony w tym pragnieniu, inni, widocznie to jest od razu, „nie przemakalni” na urok teatru, nie pragną ich wcale, a jeśli czasem tam idą, to czynią to raczej chyba przez jakiś swoisty snobizm. I dlatego wydaje się, że z robotniczą widownią teatralną sprawa ma się tak, że nie można na jej temat snuć optymistycznych wniosków tylko na podstawie ilości rozprawianych przez zakłady pracy biletów ulgowych, lub darmowych. Tu należy zastosować miarę nie pozorną, a rzeczywistą, miarę jakości

cyjniejszych rozrywek, choć rzadką, są wycieczki. Chętnie wspominają o tych, na których byli, projektują, zwłaszcza starzy, a nawet wyłącznie starzy, nowe „choć raz w miesiącu”. Mówią: „Mało się zna własny kraj, są tacy, którzy w Warszawie nie byli od 45 roku i pamiętają tylko ruiny, chciałbym zobaczyć Wieliczkę, chciałbym zobaczyć Oświęcim, ten obóz”. Wycieczki są właściwie jedyną propozycją, którą potrafią podać w związku z pytaniem: jak chcieliby spędzać wolny czas. Innych nie mają, to pytanie budzi zakłopotanie i widoczne jest, że stykają się z nim jakby po raz pierwszy, jakby właściwie nie potrzebowali czy nie czuli potrzeby dotąd nad tym się zastanawiać. Może myślą: „to zadanie zakładu pracy, zastanawiać się nad tym, jak nam dostarczać rozrywek, przecież to robia, dają bilety do teatru, w świetlicy mamy telewizor i ping-pong, na wycieczki jedziemy zakładowym samochodem, albo i za zakładowe pieniądze. To nam właściwie wystarczy. Cóż by tu jeszcze wymyślić?” I w rezultacie starzy mówią,

jakie chcieliby odbyć wycieczki, a młodzi nie potrafia powiedzieć nic. Jest ta bierność i brak inicjatywy może właśnie wynikiem owej skądinąd chwalebnej i pożytecznej kulturalno-rozrywkowej działalności zakładów pracy?.. Ta działalność wyreca ich własną, pozbawiając ich jednocześnie, zwłaszcza młodych, ko niechęci podejmowania inicyjatywy w tej dziedzinie, która, może, pozwoliłaby im coś zdobyć, rozwinąć, pokazać smak wysiłku. A tylko on nadaje cenę temu, co się osiągnęło, stanowi walor tego osiągnięcia. Ale oni za tym nie tęsknią. Jakby nie zdawali sobie nawet sprawy, że tak może być, że tego właśnie można po nich oczekiwać. Są bierni, przyzwyczajeni się, że ktoś tam „dba o ich rozrywkę i, jak sami przyznają, jest im „tak wygodniej”. Dlatego „chodzenie własnymi drogami”, indywidualne organizowanie sobie wolnego czasu nie ma wśród nich wzięcia, tylko dwóch ujawnia tego rodzaju cięgoty. Jedyną formą, wykraczającą poza ramy działalności k.o. zakładu, jest chodzenie do kawiarni.

Jest ona w ich świadomości terenem spotkań towarzyskich, którego to waloru nie posiadają ani kino, ani teatr, ani świetlica, ani telewizja. Tylko kawiarnia, do której chodzą wyłącznie młodzi. Starzy twierdzą, że „za dużo tam chuliganów”, że „strach” przechodzić koło kawiarni, a co dopiero tam wejść”. Starzy swoją niechęć do kawiarni tłumaczą jeszcze inaczej. Jeden mówi: „Jak tam zobacz robotniczą, to dadzą odczuć swoją wyższość”, inny: „Jak zobacz młodego, to się wysmieją, gdzie ja tam do kawiarni”, trzeci mówi butnie: „Kawiarnia mi nie imponuje”. Używają jeszcze argumentu, że mają na kawiarni za mało czasu i pieniędzy. Młodzi o tym nie wspominają, nie mają też wyżej wspomnianych obiekcji. Lubią chodzić do kawiarni, czują się tam u siebie, tym bardziej, że chodzą zawsze do tych samych, wymieniają „Rysakę”, „Misia”, „Papugę”, „Jubilatę”. O „Honoratce” wspominają z pogardliwą ironią, w Grandce bywa tylko jeden „bo tam ładnie i ładnie grają”. Chodzą do kawiarni, że by „spotykać się z kumpami”, z dziewczyną, „żeby pogadać”, no i że „trzeba jak co ten wolny czas spędzić”. O chuliganach nie wspominają, nie mówią też, jak sami tam się zachowują. Przyznają jeszcze, że lubią kawę...

I to byłoby wszystko. Wszystko, co starzy i młodzi potrafili powiedzieć na zadany temat. Ocena tych wypowiedzi i wnioski, które można z nich wysnuć, nie do nich należą.

JERZY PANASEWICZ

Czytelnik niechaj nie da się zwieść tytułem — niżej podpisany jest nie tylko zwolennikiem, ale poniekąd nawet rzecznikiem idei festiwalu, którą wielokrotnie i od dawna lansował, jak widać z niejakim skutkiem. Jeżeli jednak Ministerstwo udzieliło już swojego „imprimaturu”, jeżeli kierownicy artystyczni poszczególnych operetek pozytywnie ustosunkowali się do projektu, a gmach Operetki Łódzkiej przy ul. Północnej tylko patrzeć jak zostanie ukończony — można chyba, bez obawy, że wyleje się dziecko razem z kąpielą, pospekulować na temat niektórych festiwalowych niebezpieczeństw.

FESTIWAL OPERETKI CZYLI

Przed wszystkim jednak — po co festiwal? Czy tylko gwoździemonstracja całej Polsce, że my też jesteśmy nie od macochy, tylko dlatego, że Toruń i Kalisz, Rzeszów i Wrocław mają już swoje festiwale? Może trochę i tak, może rzeczywiście pomysł festiwalu zrodził się na zasadzie infekcji, ale w rezultacie na pewno nie chodzi tu o lokalne ambicje. Pamiętajmy bowiem, że wszystkie wspomniane festiwale mają charakter regionalnego przeglądu teatrów dramatycznych, gdy festiwal łódzki będzie ogólnopolskim przeglądem teatrów operetkowych. Zasadnicza różnica.

Oczywiście operetki można nie lubić. Można zarzucać jej skostnienie, można nawet powiadać — i często nie bez racji — że bywa ona roznosicielką artystycznej szmiry. Jeżeli jednak uświadomimy sobie, jak nie-

chętnie popularna jest operetka wśród najszerszych rzesz odbiorców, wszystkie te argumenty staną się na tychmiast argumentami na korzyść festiwalu. Im bardziej bowiem operetka jest skostniała, zrutynizowana i niedobra, tym potrzebniejszy jest festiwal, tym potrzebniejsza jest konfrontacja... Drugim wyjściem byłby ewentualnie ministerialny edykt, zamykający rozmnóżenie jak grzyby po deszczu operetki prowincjonalne i skupiający czołowych solistów i realizatorów w kilku wybranych miastach, co oczywiście znakomicie podniosłoby poziom — co, kiedy edykty tego typu są ostatnio szalenie niemożliwe.

Dlatego trzeba szukać innych dróg dla podniesienia poziomu operetek, a jedną z nich jest właśnie festiwal. Nie tylko bowiem da on nam skalę porównań; ze zrozumiałych przyczyn teatry przywiozą bowiem na

dzieła, ich zdaniem, reprezentatywne, co pozwoli ustalić górny limit możliwości zespołów i rzuci promień światła na gusty artystyczne ich kierowników.

Obok wyżej wyłożonych racji ogólnopolskich, istnieje jeszcze racja lokalna. Jak wiadomo w roku przyszłym Operetka Łódzka przeniesie się z gmachu przy ul. Piotrkowskiej, do nowoczesnego — przynajmniej jeżeli chodzi o widownię, ze sceną jest nieco gorzej — gmachu przy ul. Północnej. Przeniesie się z południa na północ, a wiedząc, jak wygląda w Łodzi komunikacja, szczególnie wieczorowo-nocka, musimy przyjąć, że zmieni się zarazem krąg podstawowych bywalców operetki. Z dalekich Chojen na Północną to szmat drogi, a nie każdego stać na taksówkę. W dodatku sala przy ul. Północnej liczy ponad tysiąc miejsc, w dodatku łódzianie

niezbyt szybko oswajają się z nowymi punktami widokowymi — wszystko to razem sprawia, że połączenie otwarcia nowej sali z festiwalem byłoby dla Operetki Łódzkiej posunięciem nad wyraz korzystnym.

Tak, z grubsza, wyglądałyby racje zwolenników Festiwalu. Aby dotrzeć do obietnicy zawartej w tytule, wypadałoby teraz zająć się wspomnianymi niebezpieczeństwami. Nie będę tu nawet mówił o trudnościach typu organizacyjnego, o tym, że zmontowanie tego typu imprezy jest ogromnie trudne, a skomplikowanie przy jej okazji — łatwo nad podziw.

Nie będę mówił ani o kosztach, ani o hotelach, ani w ogóle o niczym z kręgu problemów, które rozwiązałyby przeciwko jakoś miasta grubo od Łodzi mniejsze i częściej bynajmniej nie wojewódzkie.

Chodzi mi o sprawy bardziej zasadnicze, które — jestem tego niemal zupełnie pewien — narobią wiele złości, zanim jeszcze przemienie rok 1963; poruszam je trochę dla zabezpieczenia sobie prawa zawołania w odpowiednim momencie: — a co, a nie mówilem?!

Są takie sprawy przynajmniej dwie, a walkuje się je na wszystkich festiwalach, jak Polska długa i szeroka — chodzi o kryteria doboru festiwalowych pozycji i kryteria przyznawania nagród, jeżeli w ogóle nagrody mają być.

Cóż bowiem teatry mają przynosić? Czy swoją przeciwną produkcję? Czy pozycje wybrane, a może nawet specjalnie przygotowane na intencję takiego lub innego festiwalu (mówię tu

str.

6

odgłosy

B A Z A L U D Z I Z D R O W Y C H

Dokończenie ze str. 2

stawmy się raczej słowami sekretarza KL, zawsze to bezpieczniej. Powiedział on: „Powstawało w klubach wiele nowych — sztucznych sekcji. Decyzje o powoływaniu takich twórców podejmowane były najczęściej w wyniku nieczytnych uzasadnień ambicji pewnych działaczy, lub też niesłusznej dążności zarządów klubowych do osiągnięcia dumnych cyfr statystycznych. Sekcja, tylko pozornie wychynowa, posiadająca za ledwie kilku lub kilkunastu mało uzdolnionych zawodników, względnie zawodniczek, nie mając należycie przygotowanego zaplecza organizacyjnego i szkoleniowego, pochłaniała poważną część dotacji otrzymywanych przez klub. W konsekwencji nie otrzymywaliśmy ani zysków w dziedzinie upowszechnienia sportu, ani sukcesów w dziedzinie wychynu.

Święte słowa, nie dodać, nie tu ująć.

PIERWSZE JASKÓŁKI

Piszę: pierwsze jaskółki, gdyż robimy dopiero dobry początek, tylko mitomani widzą już stada jaskółek obwieszczaających wiosnę w naszym sporcie.

Plenum, do którego obrad tak często odwołuję się w artykule, zwróciło uwagę na młodzież szkolną. Chyba

wczesne metody treningu gimnastycznego i treningu w poszczególnych dyscyplinach. Lecz przecież nie wykorzystujemy równocześnie istniejących urządzeń sportowych, żeby użyć przysłowiowego już przykładu stadionu „Startu”, albo międzyszkolnego stadionu w parku 1 Maja. Lecz przecież staramy się o miejsca dla naszych nauczycieli w Akademii Wychowania Fizycznego, a nade wszystko budujemy obiekty sportowe. Pałac Sportowy, wspomniany stadion Startu na Bałutach, stadion w osiedlu akademickim, pawilon i sala gimnastyczna na Widzewie, pawilon Miejskiego Klubu Tenisowego, pływalnia „Unii”, 62 sale gimnastyczne dla młodzieży, oddane w ostatnich latach do użytku, to jest coś, prawda?

Jeżeli, mimo wielu trudności, w sporcie szkolnym zwyciężyła zasada, że najpierw — Młodzieżowa Odnaka Sportowa, najpierw karta strzelecka, żeglarska, pływacka, a później wątpliwe laury na boisku ŁKS, będziemy mogli mówić o bazie ludzi zdrowych, potrzebnych przecież nie tylko w samym sporcie, ale przede wszystkim w każdej dziedzinie życia. Nawyk gimnastyki, wólcęgi turystycznej, skłonność do roweru, łyżów, zostają na długie lata, stara prawda wciąż się sprawdza, czym skorupka za młodu nasiąknie.

Chciałbym teraz jakoś ładnie zakończyć. Nie mówmy w ten sposób — ale dostał w skórę sport szkolny, lub przeciwnie, oberwali wreszcie po uszach panowie od wy czynów, których w Łodzi i tak nie ma, ci kaperoownicy, skupiwaście talentów! To naprawdę nie ma sensu. Zdałbym sobie po prostu sprawę z tego, gdzie jesteśmy, na jakim żyjemy świecie i wiemy trochę więcej, jak nasz świat sportowy wspólnymi siłami pchać ku lepszemu.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

sedno rzeczy MARIAN PIECHAŁ

JAK ZOSTAĆ mistrzem prerii?

Taki tytuł nosi pewien druczek rozpowszechniany ostatnio w ulicznych kioskach „Ruchu”. Ale ja nie o tym druczku chcę tutaj mówić, zapożyczając jego tytuł do treści o wiele poważniejszej. Chodzi mianowicie o to, kto i co nas wychowuje? Nas — to znaczy młodzież, bo my przecież kiedyś byliśmy także młodzieżą, a i teraz często zachowujemy się w ten tak zwany „szkolny” sposób, zupełnie jak młodzież, to znaczy bardziej lub mniej poprawnie.

Raczej mniej. Wobec tego właściwszym wyrażeniem zamiast „szkolny” byłoby „chłopski” albo „busz życia” lub wreszcie „preria życia”. To ostatnie wyrażenie wydaje mi się przez swój względny umiar najwłaściwsze. No więc, jak zostać mistrzem prerii? Przede wszystkim trzeba się znaleźć w prerii, poznać prawa i obyczaje prerii, stopniowo wdrażać się w jej atmosferę i bezwzględnie wyeliminować ten jedyny sposób, żeby zostać mistrzem prerii.

Mistrzem życia nie można zostać poza życiem. Zakład wychowawczy, który nie spełnia warunków szkoły życia, mijają się ze swym celem. A

ileż zakładów wychowawczych jest jeszcze dzisiaj nie tylko przeciw życiu, ale w ogóle poza życiem? Przez swą przestarzałość i niewspółczesność, a więc nieżyłowość. Przypominają dawne szkoły klasztorne, pensje i konwikty, ściśle odseparowane od życia, wpajające w swych wychowanków i wychowanki pewien zasób wiedzy wyabstrahowanej, oderwanej od praktyki. Kiedy się przegląda niektóre współczesne podręczniki szkolne ze zdumieniem dochodzi się do wniosku, że większość omawianych tam kwestii i zagadnień, to nie przedmioty konkretne, ale jakieś nieuchwytnie i nie mające żadnego powiązania z życiem bieżącym idee platońskie. Czyż szkoła posługująca się takimi narzuconymi jej przez nieżyłowe programy szkolne podręcznikami może być dla swych uczniów szkołą życia? Czyż z takiej szkoły mogą wyjść późniejsi mistrzowie prerii? Za Boga, chyba nie!

Ale nie tylko w samych wadliwych programach i w niewłaściwych podręcznikach tkwi przyczyna owej, że tak powiem, przepaści, jaka dzieli dziś szkołę od życia. Przyczyna tej przepaści tkwi właściwie w odmiennej funkcji jaką dziś w wychowaniu człowieka pełni szkoła. Dawniej przez swoje życie lub mniej względne odseparowanie od życia szkoła była jedyną instytucją wychowawczą dla swych uczniów poza oczywiście ich domem rodzicielskim, przy czym ten dom rodzicielski ze szkołą uzupełniał się wzajemnie i zazwyczaj harmonijnie.

Dziś jest wprost przeciwnie. Dziś najczęściej dom rodzicielski to dla ucznia coś węższ przeciwnego, niż szkoła, a znów szkoła to coś węższ przeciwnego, niż życie. Tak więc dom, szkoła, życie — każde sobie w odmienny sposób rzepek skrobie. Uczeń to widzi, słyszy i odczuwa i to wszystko razem dopiero go wychowuje, stanowi dla niego właściwą szkołę życia. Szkołę bez przepisowych programów i bez programowych podręczników, ale za to jakże konkretnie praktyczną i bezładnie skuteczną! Mistrze prerii wychodzą właśnie z takiej szkoły, a nie ze szkół podstawowych, wielkiego rodzaju liceów ogólnokształcących, a nawet wyższych zakładów specjalistycznych.

Zadanie szkoły jest dziś o wiele ważniejsze i skromniejsze, a zarazem poważniejsze i odpowiedzialniejsze, niż kiedyś. Już o tym, że niepomierne trudniejsze, niż to miało

miejsce, dajmy na to, przed ostatnią wojną. Poważną konkurencją dla rodziców w domu, a dla nauczycieli w szkole jest w ich pracy wychowawczej radio i telewizor, a poza domem i szkołą kino, boisko sportowe, obozy wakacyjne, różnego rodzaju zespoły rozrywkowe, kluby, lokale

publiczne, wreszcie kawiarnie, gospody, a nawet — niestety — zwykłe knajpy.

Szkola, ta w dawnym znaczeniu, gdzie nauczyciele udzielali uczniom lekcji, zamieniła się dziś w jeden z wielu, a nie jedyny ośrodek wychowawczy, i to nierzadziej najważniejszy. Szkoła dzisiaj nie pozbywa się coraz skuteczniejszego znaczenia pedagogicznego, przestaje być ośrodkiem wychowawczym, a staje się jedynie miejscem, że tak powiem, instruktażowym, orientującym uczniów w racjonalnym i podstawowym wyborze praktycznych elementów wiedzy współczesnej. Rola szkoły współczesnej redukuje się właśnie do takiej wąskiej bezpośrednio użytecznej dla uczniów roli. Cała reszta, że tak powiem, pedagogiczna szkółka jest przez uczniów odrzucana jako zbędny, bo nie zdający życiowego egzaminu, balast przestarzały i na nie nikomu nieprzydatnej tradycji.

A więc trzeba się ostatecznie zdecydować: czy dzisiaj szkoła ma tylko uczyć, czy także w myśl dotychczasowych tradycji i wychowywać? Jeżeli wychowywać, to chyba nie na przekór domowi i temu, co uczniowi na każdym kroku pokazuje życie, lecz w jak najgłodszej harmonii z tym, co uczeń widzi i czego doświadcza w życiu. A tak pojętym wychowawstwem w szkole nie wystarczy jako podręcznik jedynie książka, lecz także jak najściślejsza łączność z domem ucznia, z radiem, z telewizją, z kinem, z „lokiem sportowym”, z obozem wakacyjnym, z klubem, gospodą, kawiarnią, a nawet ze zwykłą knajpą. To są te najbardziej życiowo bezpośrednie, a więc praktyczne i skuteczne czynniki wychowawcze, bez łączności z którymi szkoła współczesna przestaje być ośrodkiem wychowawczym, a staje się jedynie punktem zbiorowej informacji o podstawowych elementach wiedzy praktycznej, miejscem zawodowego czy też specjalistycznego instruktora.

Człowieka wychowują nie abstrakcyjne zasady, lecz konkretne przykłady. Nauczyciel w szkole uczy „wiedzy”, ale wychowuje ucznia nie on, lecz praktyka jego życia, życia tego otoczenia, życia w ogóle. Szkoła musi być wierzą soczewką tego życia, inaczej — lipa z jej roli wychowawczej. Mistrzowie prerii wychowują się poza nią. Już się nawet wychowują, czego rezultaty — niestety — widzimy codziennie i na każdym niemal kroku.

JOHN STEINBECK

Tegoroczna literacka nagroda Nobla przypadła Johnowi Steinbeckowi, pisarzowi o bogatym dorobku i ogromnej popularności: tak więc decyzja o przyznaniu tej nagrody tym razem nie zaskoczy i nie zaskoczy opinii całego świata. A bywało tak z nagrodami Nobla w niedawnej przeszłości. John Steinbeck urodził się w 1902 roku w Salinas, w Kalifornii. W Kalifornii też uczęszczał do szkoły średniej i na uniwersytet stanowy. W czasie studiów Steinbeck interesował się niemal wyłącznie biologią — i te zainteresowania pozostały mu na „całe życie, nie bez wpływu zresztą na późniejszą twórczość. Za pióro — jak wielu innych pisarzy plejady amerykańskiej — wzięł się dzisiejszy laureat Nobla trochę z przypadku, a trochę dla zarobku. Ktoś się ciężkiej zimy w okresie kryzysu udało mu się uzyskać pracę dozorcę w leżącej na odludziu miejscowości wypoczynkowej. Zima była sroga, śniegi odcieły Steinbecka od świata. Samotność i brak innego zajęcia — jak to zarobkowi określił po latach sam autor — stały się akuszerami jego pierwszej książki.

Ale napisał ich jeszcze dalsze trzy, nim w amerykańskim światku literackim zwrócono uwagę na ten szczególny talent. Wydana w roku 1935 „Tortilla Flat” była już sukcesem, następna książka — „Ludzie i myszy” przyniosła rozgłos.

Ale sławę — i to dosłownie w 24 godziny po opublikowaniu — dała Steinbeckowi dopiero opublikowana w 1939 roku, pełna demaskatorskiej pasji powieść „Grona gniewu”: nazajutrz po jej ukazaniu się był już na ustach całej Ameryki, która podzieliła się na dwa obozy. I nie było takich obelg i takich okrzyków zachwytu, jakie by nie padły pod adresem autora „Grona gniewu”.

Od tej chwili Steinbeck należy do „Wielkiej Piątki” literatury amerykańskiej — wraz z Faulknerem, Hemingwayem, Dos Passosem i Caldwellem. Tak go zaszeregowali surowi dla siebie i innych sędzi — inni amerykańscy laureaci Nobla, William Faulkner. Zresztą rzuca się w oczy pewne podobieństwo postawy obu tych pisarzy, wspólna im niechęć dla rozgłosu i obyczajów literackich Parnasu.

Steinbeck jest surowym i mało mównym samotnikiem, nie zmienił trybu swego życia, mimo olbrzymiego finansowego sukcesu: mieszka nadal w Monterey w Kalifornii, i temu zakątkowi poświęca niemal wszystkie karty swej twórczości. Tu powstały dalsze jego prace — a wśród nich najpopularniejsza i dziś powieść Steinbecka — „Na wschód od Edenu”.

Polskiemu czytelnikowi twórczość Steinbecka jest dobrze znana, przekłady jego powieści ukazują się u nas w nieprzerwanym potoku od roku 1945. Znamy są nam też i wszystkie blaski oraz cienie tego żywiołowego, często jakby niekontrolowanego warsztatu pisarskiego. Od radykalnego zaangażowania politycznego i naturalizmu pierwszych powieści, po symbolizm i przypowieść filozoficzną ostatnich lat, cała ta bujna twórczość była i jest nacechowana głębokim humanizmem. Steinbeck zawsze opowiada się po stronie słabych i skrzywdzonych. Chyba właśnie dlatego, wbrew nieprzychylnie często krytyce, tak łatwo przychodzi mu zadziernąć ów szczególny sojusznik pisarza i czytelnika, tę pełną zaufania przyjaźnią sprawiającą, że każda jego książka, zostaje bez względu na wysokość nakładu — natychmiast rozchwyтана.

A to chyba stanowi dla pisarza nagrodę cenniejszą nawet od uzależnionej od dyplomatycznych przetargów literackiej nagrody Nobla.

CO NAM GROZI

o festiwalach teatrów dramatycznych? W pierwszym wypadku pokrzywdzone są teatry rodem z mniejszych ośrodków, widz Grudziądzka chętnie bowiem obejrzy pocciwą Zapolską, a nieco snobizujący widz festiwalowy spokojnie na niej zaśnie; w w drugim pokrzywdzeni są widzowie, którym teatr podsunie coś ultra-ambitnego i jeszcze zbyt trudnego, a to tylko dlatego, że potem z tym czymś pojedzie na festiwal.

Podobnie chyba może być z operetką. Łódź przygotowała swego czasu naprawdę niezły spektakl „Kiss me Kate” Cole Portera, ale widowni rzecz się nie podobała — czyż więc na Festiwal mamy szykować nietypowego Portera bądź Suppęgo, czy typowego (i pewnego kasowo) Abrahama?

Oto pytanie pierwsze, które doprawdy nielato od powiedzieć.

Tymczasem rzecz komplikuje się jeszcze, gdy pomyślimy o nagrodach. Nagrody mają swoich przeciwników i zwolenników — ci pierwsi, mniej liczni, ale skupieni wokół samego Adama Tarna, powiadają na przykład, że festiwale to nie zawody sportowe i powinniśmy się zadowolić samym przegladem, szczególnie, że teatry nie startują przecież z równych pozycji. Drugi mówią o momentach ambicjonalnych, jak również o reperkusji nagród wśród widzów — spektakl nagrodzony wzbudza ponowną falę zainteresowania w swoim mieście rodzinnym, zarazem werdykt jury, podsuwa widzowi pewne normy estetyczne: to i to — powiada jury — jest wartościowe i dobre.

W praktyce nagrody z reguły są i w tej fazie dyskusji nosi charakter czysto teoretyczny, spór odbywa się jednak, gdy przychodzi do podziału. Przy zazwyczaj niezbyt precyzyjnych i bardzo szerokiej formułach na gród („nagroda za najlepszy zestaw repertuaru upowszechniającego” — przykład toruński) jury ma dość swobodną rękę i — bardzo znikane — często stara się dać po trochu byle wszystkim.

Jury wie bowiem, że teatr X jest ubogi, a teatr Y względnie bogaty, że jeden z nich pracuje w trudnych warunkach i w małym ośrodku, drugi zaś reprezentuje ośrodek większy, słowem jury wie mnóstwo pożytecznych rzeczy, które jednak nie mają nie wspólnego z obiektywną oceną artystycznych wartości spektakli.

Teraz pytanie: czy jury ma stosować wyłącznie kryteria artystyczne, co zazwyczaj wyraża się w wywiezieniu nagród przez ośrodki prężniejsze, czy „brać po-

prawie” i zachowywać się jak dobra, wszystkie dzieci kochająca mama? Werdykt jury na ostatnim Festiwalu Teatrów Polskich Północnej zbliżył się raczej do tej drugiej koncepcji i wywołał gwałtowne sprzeciwy; gdyby jednak sąd konkursowy postąpił inaczej, z pewnością byłoby wielu rozczulonych. Innymi słowy i tak źle, i tak nie najlepiej — mimo wszystko, że względu na wida właśnie, upierałbym się przy koncepcji pierwszej, przy stosowaniu czysto artystycznych kryteriów.

Widzom nie wolno bowiem mieszać w głowie i przy tej racji wszystkie inne racje, ministerialne nawet, muszą pójść w ką.

Jeszcze jedno. Poza ostatnim sformulowaniem artykułu mój nie zawarł raczej tak zwanych treści konstruktywnych. Wiem o tym, ale myślę, że przyjdzie i na nie czas, jako że na Festiwal Operetek jeszcze nieco oczekamy — ja na razie chciałem jedynie przedstawić argumenty za festiwalem i bodaj zaznaczyć przyszłe punkty sporu.



Operetka to także balet, ruch...

S. W.

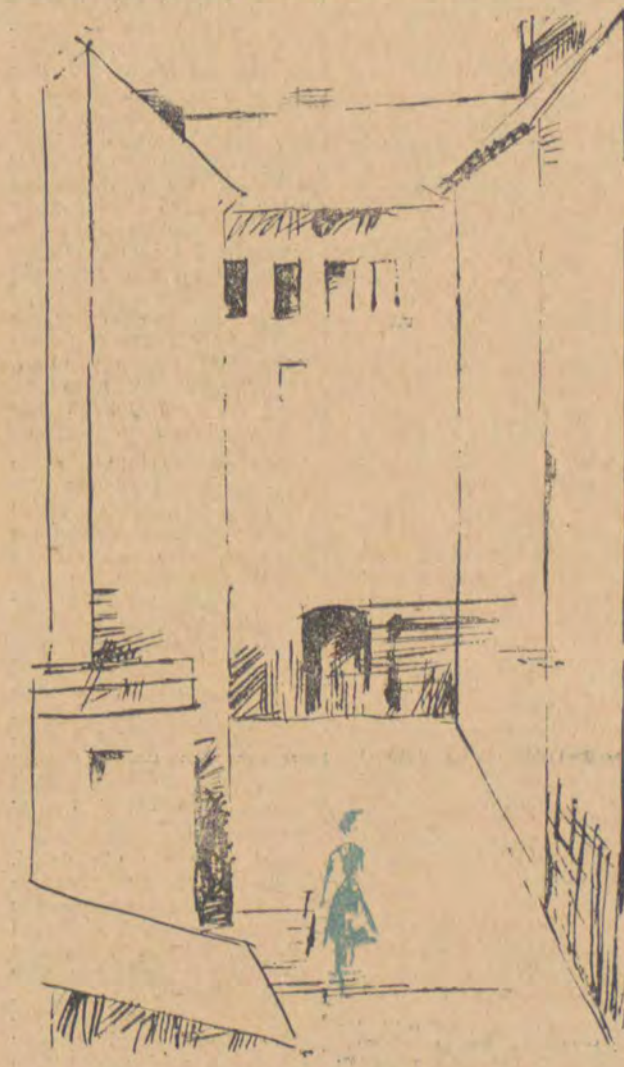
Nie chcę dużo mówić, jak się czułam po przebudzeniu. Cholernie kiepsko. Pan wie, jak to jest po przebiegu. Upłynęło parę sekund, zanim się zorientowałam gdzie jestem. Jeszcze byłam pod wrażeniem snu i słyszałam swój krzyk, kiedy Geograf tonął. Ale z wolna uspokajałam się. Złutka spała jak zabita. Miała otwarte usta i ochrapała. Wyglądała okropnie. Naprawdę była przydka. Nie wiem, jak się takiej można zakochać i co w niej widział Kazek. Gdybym była chłopakiem, nie w świecie nie wybrałabym Złutki. Tośka i Kazka już nie było, nie miałam pojęcia kiedy się ułotnił. W mieszkaniu było cholernie duszno, wstałam więc i otworzyłam okno. Owionęło mnie świeże powietrze, wychyliłam się z okna i zaczęłam głęboko oddychać. Boże święty, jak

się przyjemnie oddychało, nie ma pan pojęcia. Czułam, że nowe siły we mnie wstępują. Dzień był ładny, słoneczny, na ulicy ludzie spieszyli za swoimi sprawami, przemykały taksówki, z dala dochodziły odgłosy miasta. Jeszcze się trochę pogimnastykowałam przy oknie, jakiś wariat z naprzeciwka zauważył mnie i zaczął wyczytnać te same ruchy, co i ja. Włóczę odwróciłam się i wtedy zobaczyłam na stole kartkę, a pod kartką forse, pięćset złotych, jak obywatel. List pochodził od Tośki, Tosiek pisał, żebyśmy z Złutką na niego czekały, on i Kazek musieli wyjść wcześniej, aby „zajął” sprawy związane z wyjazdem, ciekawa byłam, co to za sprawy. W dopisku Tosiek wyraził nadzieję, że zlitujemy się i doprowadzimy do porządku mieszkanie, pieniądze zaś zostawia na zakupy. Widzi pan, co za kretyn. Rzuciłam list na stół i poszłam do

łazienki. Rozebrałam się i wzięłam zimny prysznic, nie ma pan pojęcia, jak mnie to orzeźwiło. Potem się ubrałam, na szczęście przed spaniem zdjęłam spodnicę i bluzkę. Złutka spała w sukience, pan sobie wyobraża, jak potem musiała wyglądać? Wróciłam do pokoju i przeczytałam jeszcze raz kartkę Tośki. Wzięłam forse i schowałam do torebki. Złutka spała w dalszym ciągu. Koc jej się zsnuł na podłogę, więc podniosłam go i narzuciłam na nią. Dziękuję za uznanie, pan chyba żartuje. Nie szkodzi. Włóczę jeszcze przejrzałam się w lustrze, obrysowałam sobie oczy ołówkiem i wyszłam. Tym razem pan nie zgadł, ja naprawdę wyszłam, aby coś kupić do zjedzenia. Nie miałam zamiaru się ułotnić. Niby dlaczego? Z ciotką była inna historia, pan sam rozumie, jak można zestawiać Tośkę i ciotkę? Ale w miarę jak oddalałam

się od domu, wiedziałam, że do Tośki dzisiaj już nie wrócę. Pan się myli, wcale nie miałam zamiaru rezygnować z wyjazdu nad morze. Przynajmniej w tej chwili nie miałam tego zamiaru. Co to, to nie. Niby z jakiego powodu? Nie obawiałam się też, że Tosiek się na mnie obrazi. Nawet gdybym przyszła na drugi, albo na trzeci dzień. Byłam pewna, że Tosiek tak szybko ze mną nie zrezygnuje. Ja już wiem, proszę pana. Włóczę szłam przed siebie, czułam, że ruch na ulicy, i świeże powietrze, i w ogóle wszystko. Tak doszłam do parku, uśladłam na ławce, wyciągnęłam nogi przed siebie, strasznie było przyjemnie. Ale jeśli pan sądzi, że można wypocząć w parku, nawet o rannej godzinie, to się pan grubo myli. Zawsze się ktoś musi przycepić i nastrój pryska. Jakiś palant z bródką stanął przede mną, uchylił kapelusza i zapytał: „Przepraszam, która godzina?” Odpowiedziałam: „Dzie wzięta, trzydzieści”. „Już tak późno, niemożliwe!” — wykrzyknął z udanym zdumieniem i uśladł obok mnie. „Nie moja wina — powiedziałam — że pan ma zegarek na ropy”. Żeby pan zobaczył jego minę. Wstałam i poszłam dalej.

Skręciłam w Narutowicza i wstałam do „Polonii”. Byłam chyba pierwszym gościem. Zamówiłam kawę z mlekiem, kanapki z serem, wsunęłam to, zapaliłam papierosa. Czułam się coraz lepiej. Zapłaciłam rachunek i wyszłam. Potem przyszło mi na myśl, żeby zadzwonić do kogo. Nie, do ciotki w żadnym wypadku. Ale prawdę powiedziawszy pomyślałam o Kostku. Włóczę w najbliższej budce zadzwoniłam do niego. „Jak się masz Kostek, żyjesz jeszcze?” — powiedziałam. Ha-



lo, Magda, skąd dzwonisz, co się z tobą dzieje?” „To nie ma znaczenia, skąd dzwonię — rzekłam. Chciałam się z tobą pożegnać.” „Coś ty, Magda!” — zawołał. „Kos-tek — powiedziałam grobowym głosem — żegnam cię na zawsze. Odjeżdżam.” „Magda, co ty robisz, nie

wariuj!” — nie trzeba być prorokiem, żeby odgadnąć, co się z nim dzieło. Ale powiedziałam panu, potrzebna była mi ta rozmowa. Jak Bogga kocham, musiałam rozmawiać z Kostkiem. Wyzwałam się od kretynek, ale

Dalszy ciąg na str. 10

When „Arms and the Men” was first produced in London it was received with great enthusiasm. The curtain fell and there were repeated calls for the author. Bernard Shaw stepped forward. The cheering died down. But a man said: — Mr. Shaw, you are not a good writer! Bernard Shaw answered: — Yes, sir, I agree with you, but what on earth can we two do against this whole audience?



Mary and Bobby slept for a very long time. Then she sat up in her bed and looked around. The little room was full of sunshine. She got up with Bobby in her arms and opened the door. Marry cried out with joy. There were fruit trees and flowers on every side. Strange birds sang in the trees. Mary said: — It is like a fairy-land. Suddenly Mary saw a group of people. — Oh, what strange people, — said Mary. They were very small but they looked quite old. A woman was much, much older than the men. Her hair was white and she walked very slowly. The strange group came up to the house and stopped. The little woman said: — We thank you very much, beautiful Fairy. — Why do you call me a fairy and why do you thank me? — asked Mary. — We thank you because you killed the Witch of the East. Our people were her slaves. Now they are free, at last.

Mary said: — I don't understand you. Why do you say that I killed the Witch of the East? I did not kill anybody. I am only a little girl. — It was your house that killed her, — answered the little old woman, and that is the same thing. Look, you can see her feet under your house. Mary looked and, indeed, saw two feet in silver shoes. The body was under the house.

Oh, Fräulein Schulze. Guten Tag! Sie sind schon zurück. — Ja, Herr Müller, die schöne Zeit ist schon vorbei. — Sie sehen aber gut aus. So braungebrannt! Sie haben wohl schönes Wetter gehabt? — Ja, mit dem Wetter hatte ich Glück. Bei uns war das Wetter schrecklich. Erinnern Sie sich? Jeden Tag ein Gewitter und der Himmel immer voller Wolken. In Thüringen war der schönste Sonnenschein. — Deshalb bin ich an die See gefahren. Da ist das Wetter im September meistens sehr schön. Nicht zu heiß, aber still und sonnig. Natürlich wollte ich jeden Tag baden und in der Sonne liegen. Aber dieses Jahr war es windig und regnerisch. — Das tut mir aber leid! Aber schöner Regen beruhigt die Nerven. — Das sagt man nur so. Wer will denn die ganze Zeit Bücher lesen und Radio hören? — Ja, da haben Sie recht. Hoffentlich haben Sie nächstes Jahr mehr Glück. — Aber nur dann wenn Sie mit mir fahren, Fräulein Schulze. — Ach, es ist schon zwölf Uhr. Und ich wollte noch auf den Markt. — Wollen Sie nicht einen Spaziergang mit mir machen? — Sehr gern, Herr Müller. Vielleicht gegen Ende der

— We thank you very much, beautiful Fairy. — Why do you call me a fairy and why do you thank me? — asked Mary. — We thank you because you killed the Witch of the East. Our people were her slaves. Now they are free, at last.

Mary said: — I don't understand you. Why do you say that I killed the Witch of the East? I did not kill anybody. I am only a little girl. — It was your house that killed her, — answered the little old woman, and that is the same thing. Look, you can see her feet under your house. Mary looked and, indeed, saw two feet in silver shoes. The body was under the house.

Oh, Fräulein Schulze. Guten Tag! Sie sind schon zurück. — Ja, Herr Müller, die schöne Zeit ist schon vorbei. — Sie sehen aber gut aus. So braungebrannt! Sie haben wohl schönes Wetter gehabt? — Ja, mit dem Wetter hatte ich Glück. Bei uns war das Wetter schrecklich. Erinnern Sie sich? Jeden Tag ein Gewitter und der Himmel immer voller Wolken. In Thüringen war der schönste Sonnenschein. — Deshalb bin ich an die See gefahren. Da ist das Wetter im September meistens sehr schön. Nicht zu heiß, aber still und sonnig. Natürlich wollte ich jeden Tag baden und in der Sonne liegen. Aber dieses Jahr war es windig und regnerisch. — Das tut mir aber leid! Aber schöner Regen beruhigt die Nerven. — Das sagt man nur so. Wer will denn die ganze Zeit Bücher lesen und Radio hören? — Ja, da haben Sie recht. Hoffentlich haben Sie nächstes Jahr mehr Glück. — Aber nur dann wenn Sie mit mir fahren, Fräulein Schulze. — Ach, es ist schon zwölf Uhr. Und ich wollte noch auf den Markt. — Wollen Sie nicht einen Spaziergang mit mir machen? — Sehr gern, Herr Müller. Vielleicht gegen Ende der

UNSERE KINDER

Herr Leber war Witwer. Er hatte drei Kinder. Nach einiger Zeit heiratete er zum zweitenmal. Sie war auch eine Witwe und hatte auch drei Kinder. Jetzt hatte Herr Leber sechs Kinder in seiner Familie. Seine zweite Frau war noch jung. Er war auch noch nicht alt und nach drei Jahren hatten sie neue drei Kinder.

Die Familie war jetzt sehr gross. Die Kinder spielten sehr laut. Aber eines Tages erhob sich ein schrecklicher Lärm im Kinderzimmer. Herr Leber wurde nervös und fragte seine Frau: — Was gibt's da?

Die Frau antwortete ruhig: — Deine Kinder und meine Kinder schlagen unsere Kinder.

BERÜHMTE DICHTER

Ise und Johann machen einen Spaziergang. Der Tag ist sehr schön. Die Sonne scheint hell. Viele Menschen spazieren. Erwachsene und Kinder.

Ise und Johann sprechen kein Wort. Die Liebe erlaubt es ihnen nicht. Aber ihre Herzen gehören zusammen. Sie lieben sich.

Plötzlich sagt Johann: — Lieben, sich mal, der grosse Herr ist der berühmte Dichter Sudermann.

Ise sieht den Mann und antwortet: — Was, der mit dem grossen Bart? Ich dachte, berühmte Dichter sind nur von Gips.

SCHÖNE ZEITEN

Oh, Fräulein Schulze. Guten Tag! Sie sind schon zurück.

Ja, Herr Müller, die schöne Zeit ist schon vorbei. Sie sehen aber gut aus. So braungebrannt! Sie haben wohl schönes Wetter gehabt?

Ja, mit dem Wetter hatte ich Glück. Bei uns war das Wetter schrecklich. Erinnern Sie sich? Jeden Tag ein Gewitter und der Himmel immer voller Wolken. In Thüringen war der schönste Sonnenschein.

Deshalb bin ich an die See gefahren. Da ist das Wetter im September meistens sehr schön. Nicht zu heiß, aber still und sonnig. Natürlich wollte ich jeden Tag baden und in der Sonne liegen. Aber dieses Jahr war es windig und regnerisch.

Das tut mir aber leid! Aber schöner Regen beruhigt die Nerven.

Das sagt man nur so. Wer will denn die ganze Zeit Bücher lesen und Radio hören?

Ja, da haben Sie recht. Hoffentlich haben Sie nächstes Jahr mehr Glück.

Aber nur dann wenn Sie mit mir fahren, Fräulein Schulze.

Ach, es ist schon zwölf Uhr. Und ich wollte noch auf den Markt.

Wollen Sie nicht einen Spaziergang mit mir machen?

Sehr gern, Herr Müller. Vielleicht gegen Ende der

— Oh, dear! Oh, dear! Now I understand what happened. The house fell on this poor woman and killed her! I am so sorry! What shall we do? Who was she?

The little woman answered:

— She was the Witch of the East. She made all the people her slaves and they worked for her night and day. Now they are all free, because your house fell on her and she is dead now.

— Who are you? — asked Mary.

— I am the Witch of the North. But I am a good witch and the best friend of the people, who live in this country.

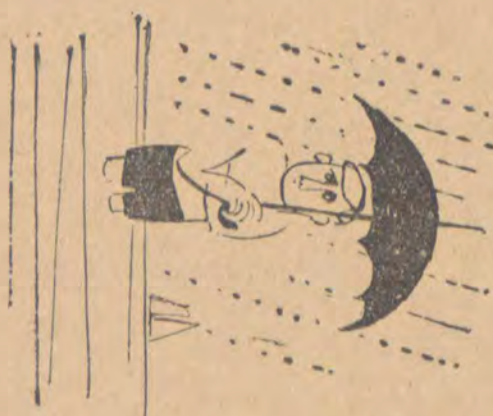
— If you are a good witch, please help me to go back to my aunt and uncle. They don't know where I am. Please help me to go back to Kansas prairie.

(to be continued)



Woche. Morgen und übermorgen bin ich nicht frei. Also lieber Freitag oder Sonnabend.

— Ich danke Ihnen, Fräulein Schulze. Ich freue mich sehr, Grüssen Sie, bitte, Ihre Mutter von mir. Auf Wiedersehen, Fräulein Schulze! Bis Freitag! Auf Wiedersehen! — Auf Wiedersehen, Herr Müller!



HE IS MR. BLACK

Two men are talking in a train.

— Are you going to Black's lecture today? — asked one of them.

— Yes, — answered the other.

— Don't go for I heard that he is a very bad speaker.

— I must go for I am Mr. Black.

SOME MEAT

A traveller arrived at a country inn. He was wet with rain and feeling cold. The country inn was so full of people, that he could not get near the fire.

He said to the landlord:

— Take some meat to my horse.

— To your horse? — asked the landlord.

— Do as I ask you, — answered the traveller.

All the people, hearing this, ran out to the stable to see the strange horse.

The traveller had now the whole room to himself. So he sat down comfortably by the fire and warmed himself.

When the landlord returned, he said to the traveller:

— I was sure that your horse would not eat this food.

The traveller replied:

— Never mind. Put it on the table. When I am dried, I will try to eat it myself.

CHARAKTERISTIK

„Er hatte den Kronorden IV Klasse, gewann den Hauptgewinn der III Klasse, fuhr in der Bahn II Klasse und war ein Lump I Klasse.“



APRIL

Am ersten April gibt es immer viel Spass. An diesem Tag sprechen die Menschen oft keine Wahrheit. Aber nicht nur an diesem Tag.

— Sie ist noch klein. Sie ist fünf Jahre alt. Sie geht in die Küche zur Mutter und sagt:

— Mama, weisst du, in meinem Kinderzimmer sitzt ein Herr und küsst deine Freundin.

— Nicht möglich, — sagt die Mutter und will ins Kinderzimmer gehen.

— Sie lacht und sagt:

— April, April, es ist kein Herr. Es ist ja der Papa.



Dalszy ciąg ze str. 9

trzymałam słuchawkę przy uchu i chciałam, aby jak najdłużej rozmawiać. Niech pan się nie dziwi. „Kostek — mówiłam — nie zobaczmy się już nigdy”. „Magda, czy ty wiesz, że ciotka wariuje?” „Co więcej?” — zapytałam. „Mariola była już na milicji.” „Wspaniale!” — powiedziałam. „Zaczekaj, gdzie jesteś, przyjadę do ciebie.” „Obejdzie się!” — odparłam. W tej chwili usłyszałam w słuchawce jakieś szmery, a potem gruby głos Geografa: „Magda!” Rzuciłam słuchawkę i przerwałam rozmowę. „Naprawdę pojadę?” — powiedziałam sobie.

Pan sądzi, że te pięćset złotych, które, co tu ukrywać, świsnęłam Tośkowi, przyczyniły się do mojej decyzji? Gdybym nie miała grubej forsy, pojechałabym tramwajem. Na przykład do Tuszyńska. Albo do Zgierza. Zresztą, wszystko jedno dokąd. No i wyszłoby na to samo. Ale miałam przy sobie forszę Tośka, więc poszłam na Dworzec Fabryczny i wykupiłam bilet do Warszawy. Dlaczego do Warszawy? Może dlatego, że w Warszawie jeszcze nie byłam. Śmiałam powiedzieć, ale poza Zakopanem, pan sobie przypomina tę szalową podróż z Borutą i Mariolą do Zakopanego, nie byłam w żadnym większym mieście. Oczywiście jeśli nie liczyć Piotrkowa, pan wie, w Piotrówkę mam drugą ciotkę. Więc ta myśl o podróży do Warszawy coraz bardziej mnie opanowywała. Postanowiłam jechać i koniec. Kupiłam sobie jeszcze papierosów, tabliczkę czekolady. Potem wyszłam na peron i wsadłam do pociągu.

Boże święty, niech mi pan

wierzy, czułam się wyśmienicie. Nie wiem dlaczego. Fakt, że tak było. Rozparłam się na siedzeniu, zapaliłam papierosa. Przedział z wolna się zapełniał. Obok mnie usiadła starsza pani, a naprzeciw, przy oknie, jakiś bubek Bo ja wiem, student, urzędnik? Nawet sympatyczny, ale co mnie to wzruszało. Od czasu do czasu patrzył na mnie, ale nie odpowiadałam mu ani jednym spojrzeniem. Nie w głowie mi były flirty w pociągu. Zresztą pan ma rację, diabeł wie, co to był za gość i co myślał, skąd mógł wiedzieć?

Więc przestałam sobie głowę zawracać facetem. W dalszym ciągu było mi lekko na duszy. Pociąg oddalał się od Łodzi, a ja od swoich zmartwień. Czułam się bosko, jak nieraz we śnie, kiedy wydaje się, że człowiek płynie w powietrzu i jest lżejszy niż piórko ptaka, i jest mu dobrze. Miałam takie sny, nawet ten ostatni był podobny, kiedy z Mariolą wyrzywałam nad brzegiem morza. Przysmknęłam oczy i nie wiadomo kiedy zasnęłam.

Niech pan się nie dziwi. Ostatecznie byłam zmęczona, i to jak, prawie całą noc bawiliśmy się z Tośkiem i Kazkiem. Jak długo spałam? Kilkanaście minut, nie dłużej, bo kiedy się ocknęłam, nie minęliśmy jeszcze Koluszek. Ale to był zdrowy sen, nieraz pięć minut wystarczy za godzinę. Spałam kamieniem, bez majaczeń. No dobrze. Więc obudziłam się, ale nie otwierałam oczu. Udałam, że w dalszym ciągu drzemię. Przecież zapełnił się, ludzie nawet stali, no jasne, wystarczy, że na każdej stacji wejdzie jedna lub dwie osoby. Tej starej babki, któ-

ra usiadła w Łodzi obok mnie, już nie było. Jej miejsce zajęła chuda ciotka, której gęba się nie zamykała. Obserwowałam ją spod półprzymkniętych powiek. Okropny babsztyl, miała nos jak dziób i wąskie usta, które były stale w ruchu. Gadała głośno do tego faceta pod oknem i to jej gadanie mnie obudziło. Rany, jaki miała okropny głos. Jak nie naoliwiona kłopotka. Wyobrażam sobie połykanie w domu z taką ciotką! Współczuję z góry wszystkim, którzy z nią żyją. Więc ta baba trąkotała jak najęta. Wystarczyła za całą gazetę. „No wie pan, coś podobnego!” — krzyczała co chwilę. Dowiedziałam się, ile Łódź ma teraz mieszkańców, i o ile więcej jest kobiet w naszym mieście. Ten temat sprawiał jej niesłychaną przyjemność. Wyraźnie kleiła się do tego faceta pod oknem. Aż rzygać się chciało. Potem rozprawiła się z amerykańskimi kosmonautami. „Dlaczego, panie, oni zawsze do mo-

ra wpadają, co?” A już największy ubaw, kiedy zaczęła mówić o młodzieży. Nie mogłam ścierpieć jej mowy. Słowo daję, z największą ochotą wyprąłabym ją po pysku. Biłabym i patrzyła jak puchnie. Co za okropny babsztyl. Nie dałabym trzech groszy za to, że mnie rozpoznała. Widać nie musiała zauważyć, że nie śpię. A motywy tej niechęci? Pan się nie domyśla? Wystarczy, że siedziałam obok niej. No więc. Byłam pewna, że umyślnie dobiera takie słowa, które by mi dopiekły. Nie otwierałam oczu, ale jakbym ją widziała, jak mruga do słuchaczy i pokazuje mi palec. Niech mnie pan nie uspokaja, obejdzie się bez tego.

Więc ta małpa opowiadała o jednej pauce, trzech chłopakach i jednej dziewczynie, która okradła wille na Julianowie. Chłopaki wdarli się do mieszkania i skradli zastawę kryształową, radio, płyty, diabeł wie, co jeszcze. Następnego dnia

świsnęli komuś Warszawę. Nie cieszyli się nią długo, bowiem rozbili ją najechawszy na słup. Ale już w godzinę później jechali Syreną, którą zabrali z ulicy Traugutta. Urządzili sobie wycieczkę na Zarzew i tam za cmentarzem opili interes. Miel fantazję, nie ma co mówić. Wie pan, nie będę opowiadać o innych wycieczkach tej paki. Po co? Słowo daję, niektóre zagrania mieli takie jak Boruta, albo Długi. Tylko, że Długi był artystą w swoim fachu. Wystarczy, jak przypomniał panu tę przysięgę w lesie pod krzyżem. No widzi pan. I poza tym Długi nie lubił mokrej roboty. Ci natomiast chętnie zabawiali się na mokro. Na przykład, opowiadała ta ciotka, przepadali za zabawą w jelenia. Pan się domyślił, o co chodziło. Wysłał dziewczynę na wabia i ta ścigała gościa na uboczne, gdzie czekali już kumple. Znana gra.

„Panie kochany — mówił ten babsztyl — to jest taka dzisiejsza młodzież!” „I co

się stało z nimi?” — zapytał facet. „Pan się pytał? Cała szajka siedzi pod kłuczem. Do śmierci ich tam trzymać”. „Niech pani pochwyci — zabrała głos jakaś kobieta — człowiek idzie ulicą i nie wie, kogo ma za sobą.” „Kto nie wie, to nie wie — odparła moja sąsiadka. — Ale ja zawsze takiego poznam. Mnie nikt nie oszuka. Spójrzę na taką umalowaną lalę w podkaszanej spódnicy i zgaduję co za ciotka.” Boże święty, ale sfabrykowała obrazek. Niby słusznie, bo chłopaki kradli i rozbierali. Ja też kradłam. Ja obserwowałam pana i pan nie mrugnął okiem, kiedy mówiłam o tej forsie Tośka. Nie, o tej pierwszej stówie. Z ciotką też gadałam na te tematy. Jakże! Nawet w sądzie patrzyła na człowieka nie takim okiem. Wyobrażam sobie, co by było, gdyby tę ciotkę ubrali w togi i posadzili za stołem sędziowskim. Albo gdyby mieć ją za sąsiadkę. Boże święty, gdy sobie zestawiam tę babę z moją ciotką, to mi się płakać zachciało. Niech pan nie myśli, że dopiero teraz uświadomiłam sobie, jaką mam ciotkę. Nawet Narcyz wydał mi się przy tej babie przyjemny. Nie mówię już o Kostku. Boże kochany!

Więc panu powiem. Nie mogłam ścierpieć dłużej tej gadaniny. Tym bardziej, że ciotka gadała coraz głośniej. Dojechaliśmy do Koluszek i pociąg się zatrzymał. Wtedy wstałam i nachyliłam się do ucha tej babie. „Ty stara wydro!” — powiedziałam. Ale ja zaskoczyłam. Nie mogła słowa przemówić. No, jasne, natychmiast wysłałam. Pan się domyśla, co mogło się dziać w przedziale po moim wyjściu. Ale proszę mnie źle nie rozumieć.

D. c. n.



CZY KINO WSZYSTKICH KRÓTKICH FILMÓW

Wzrastająca każdego roku produkcja polskich i zagranicznych filmów krótkometrażowych niejako wywalczyła sobie w programie naszej telewizji specjalną audycję — Kino Krótkich Filmów. Świetny pomysł spotkał się z przychylnością i zainteresowaniem znacznej liczby widzów. Z powodzeniem audycja ta zapoznaje z najwybitniejszymi osiągnięciami w dziedzinie filmu krótkometrażowego. W Kinie Krótkich Filmów można zobaczyć nie tylko ciekawe filmy, ale także usłyszeć ich krytyczną ocenę i analizę formalną. W audycjach, które prowadzi reż. Bolesław Michałek przewinęło się немало znakomitych polskich filmów dokumentalnych z dziełami Karasza, Łomnickiego, Makarczyńskiego („Muzykanci”), „Narodziny statku”, „Noc”) na czele. Wiele uwagi poświęcił reż. Michałek również najnowszym osiągnięciom krótkiego metrażu na świecie, prezentując filmy angielskie, francuskie, japońskie, duńskie i inne. Były kolejne audycje Kina Krótkich Filmów poświęcone naszym osiągnięciom w filmie animowanym — rysunkowym, lalkowym, wycinankowym. Nie zabrakło również filmów oświatowych, popularnonaukowych.

Wydawać by się mogło, że wszystkie gatunki filmu krótkometrażowego uzyskały we wspomnianej audycji prawo prezentacji. I tak, a co za tym idzie i wytwórnie filmów krótkometrażowych w Polsce miały okazję przedstawić milionowej widowni swoją aktualną produkcję filmową. Oglądając jednak od dłuższego czasu kolejne audycje w Kinach Krótkich Filmów łatwo zauważyć brak filmów produkowanych we wszystkich wytwórniach filmowych w kraju.

Czy miejsce wytwórni jest aż tak ważne i decydujące o kwalifikowaniu filmów do wyświetlania w Kinie Krótkich Filmów? Oczywiście chyba nie. Do czego zmierzam? Otóż w Klubie Krótkich Filmów, jak wspom-

niałem, nietrudno obejrzeć filmy dokumentalne warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, „Czołówki” — Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego, czy warszawskiego Studia Miniatur Filmowych. Rzecz oczywista, że kopie tych filmów mają o wiele krótszą drogę na Plac Powstańców Warszawy, że łatwiej reż. Michałkowi zaprosić do warszawskiego studia twórców filmów krótkometrażowych pracujących i mieszkających stale w Warszawie. Nie o to mam pretensję. Chodzi o coś innego. Reż. Michałek prezentując filmy warszawskich i zagranicznych wytwórni zdaje się coraz częściej zapominać, że wcale niebagatelną ilość około stu filmów krótkometrażowych przeznaczonych do szerokiego rozpowszechniania produkuje łódzkie wytwórnie: Wytwórnia Filmów Oświatowych, Studio Małych Form Filmowych — „Semafor” i Studio Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej. Wśród produkcji wymienionych wytwórni nietrudno znaleźć pozycje wartościowe. Tymczasem ostatnio np. z okazji odbytego w Warszawie Kongresu Międzynarodowego Słownictwa Filmu Naukowego (AICS) reż. Michałek zaprezentował zagraniczny film popularno-naukowy — „W poszukiwaniu Adama”, utwór daleki w swej formie od poprawności dobrego filmu popularno-naukowego. Do wypowiedzi na temat filmów popularno-naukowych zaprosił jednego z wykładawców Szkoły Filmowej. W całej audycji padło wiele ogólników, ale niestety, mało konkretnych uwag na temat specyfiki twórczości filmowej w tej dziedzinie. Czy naprawdę i w tym wypadku zabrakło chociaż jednego dobrego filmu zagranicznego, a jeśli już nie zagranicznego to przynajmniej polskiego nad którym można by rozwinąć bardziej owocną i pożyteczniejszą dla widzów dyskusję. A przecież ostatnio zrealizował interesujący film biologiczny „Słuzowce” znany twórca filmów w tej dziedzinie reż.

Marek, a film reż. Bączyńskiego z ciekawej dziedziny psychologii zwierząt „I kurczęta muszą się uczyć” uzyskał dyplom na Festiwalu AICS. Obaj reżyserzy wymienionych filmów mają w swoim dorobku twórczym niejednego film pozytywnie oceniony przez krytykę i jurorów zagranicznych festiwali filmowych.

Czy więc odległość z Warszawy do Łodzi jest aż tak astronomiczna? Czyżby np. filmy animowane produkowało tylko ostatnio Warszawskie Studio Miniatur Filmowych? Na pewno nie gorsze pod względem artystycznym są ostatnio filmy z Bielska-Białej i łódzkiego „Semafora”. Niechby przyjemnie jest wytykać czyjeś potknięcia. Ale jeżeli już jesteśmy przy temacie dotyczącym przedstawiania polskich filmów krótkometrażowych w audycji prowadzonej przez reż. Michałka, warto chyba zwrócić uwagę znanemu krytykowi, że powinien on czasami poświęcać więcej uwagi prezentowanym przez siebie filmom. Należy chyba zadać od poważnego krytyka filmowego, by nie mylił i nie przekreślał nazwisk twórców (np. reż. Sapiński zamiast reż. Kaden), by wreszcie wiedział, że fragmenty poezji Słowackiego i Gałęzińskiego użyte jako komentarz w filmie reż. Mirezowa „Ultima-Thule siedział piekiel” (Srebrny Smok na ostatnim krakowskim festiwalu, którego przewodniczącym jury był reż. Michałek) nie są, poezją islandzką wziętą z... sag islandzkich. Te na pozór może drobne potknięcia rzutują jednak na całość i dobrą sławę poważnego krytyka i poważnej audycji jaką jest Kino Krótkich Filmów. Wypada chyba prosić reż. Michałka o bardziej częste zauważanie nie tylko krótkometrażowych filmów produkowanych w Warszawie, ale również w Łodzi i w Bielsku-Białej, jak również o poświęcanie bardziej skrupulatnej uwagi prezentowanym filmom.

TELEwizja

Czytanka z obrazkami

Nielatwy orzech do zgryzienia przygotowała sobie, nasza telewizja, tworząc Studio Literackie. Masowe upowszechnianie literatury pięknej — rzecz w istocie warta zachodu i na pewno pożyteczna. Tak, ale ma to być upowszechnianie literatury w telewizyjnym wydaniu. I z tym mariażem nie zawsze jest najlepiej... Sprawdzony fakt, że bardzo rzadko udaje się przetransponować arcydzieło literackie na arcydzieło filmowe czy telewizyjne. Po prostu — konflikt obrazu i wyobraźni; tworzyłem filmowy czy telewizyjny jest przede wszystkim obraz, zaś tworzywo literackie, to słowo. I jak nieczęsto można obraz kwitować słowem, to równie rzadko udaje się słowo zastąpić obrazem. Przykładów można przytaczać bardzo dużo. Choćby ubóstwo starannych przecież filmowych adaptacji Hemingwaya i Sienkiewicza, czy niedaleko szukając — telewizyjne widowisko Studia Literackiego, które pokazało nam 24. bm. „Obcą krew” M. Szolochowa.

Jest to rzeczywiście pięk-

na literatura i dobrze, że dla uczczenia 45. Rocznicy Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej sięgnięto akurat po jedno z „Opowiadań znad Donu”. „Obcą krew” napisał Szolochow w r. 1926. Dla tamtego pokolenia i w tamtych latach Rewolucja nie była jeszcze. Wielkim Symbolem — była zachłystująca nową rzeczywistością. Jeszcze nie zabiłszy się rany, jeszcze nie ostygły przeżycia. Rodziło się nowe państwo radzieckie, rodziło się radzieckie ludzkie. I ten moment zawarł autor „Cichego Donu” w swoich opowiadaniach. Naprawdę, dobry był wybór Studia Literackiego. Dobrze, że zechciano nowszemu pokoleniu przybliżyć smak tamtych wielkich dni...

Ale skończyło się na wyborze. Potem zaczęły się klopoty własnej natury: jak to pokazać. Opowiadanie jest trudne. Dużo narracji, mało dialogu. Adaptatorzy widowiska telewizyjnego (J. Zalewski i A. Konie) byli gorliwie wierni tekstowi. Broń Boże, nie zmienili tych proporcji. To znaczy tam, gdzie w opowiadaniu jest narracja

— w widowisku telewizyjnym narrator odczytuje swoją partię, a aktorzy zamierzają na ten czas prawie w bezruchu. Zupełnie jak w żywych obrazach historycznych z przedstawień szkolnych. Potem, zależnie od linijki w tekście — albo chwila (długa) ciężkiego milczenia, albo parę słów dialogu ożywiających postaci... To była żenująca bezradność telewizji wobec tekstu literackiego. Nawet kamera była nieznosnie, bezradnie statyczna. W sumie — czytanka z obrazkami.

Należy jednak oddać sprawiedliwość aktorom, którzy mimo tak ograniczonych możliwości i niepotrzebnie patetycznej, a górnej w tonacji reżyserii Andrzeja Konie — robili co mogli. Najbardziej zwycięsko wyszła z tych opalów Ryszarda Hanin w roli Starej Powściągliwa, bez zbędnych, niepotrzebnych gestów nakreśliła przeciw paroma „pościągaczami” bardzo prostą, głęboko ludzką postać matki. To można rzeczywiście nazwać osiągnięciem! Ona chyba najlepiej potrafiła od czytać Szolochowa i przemycić w tym widowisku jego serdeczną wrażliwość na zwykłe, ludzkie sprawy. Dzielnie, choć o wiele bardziej możnaby było przez spektakl Lech Pietraszkiewicz — Gawryła i Wojciech Pokora — Mikołaj. A Konie, jako Narrator objaśniał obrazki słowami Szolochowa. P.S. Warto przy okazji zastanowić się jednak serio nad właściwym miejscem dla Studia Literackiego w Telewizji.

HALINA KIJOWSKA

24. X. 62. — TV. Studio Literackie — „Obcą krew” — widowisko wg. opow. M. Szolochowa. Tłum. W. Broniewski. Reż. A. Konie. Adapt. — J. Zalewski. A. Konie. Scenograf — B. Nowakowska. Wykonawcy: L. Pietraszkiewicz, R. Hanin, W. Pokora, J. Nalberczak, K. Wilhelmi, W. Nowakowski, A. Konie.

My chodzimy grzecznie spać?

Nie mam zamiaru narzekać — pomysł jest doskonały. I, co już znacznie rzadziej zdarza się telewizji — wykonanie również. Obawiam się jednak nie bez kozery, że skutek tych dwóch, przemyślanych zresztą cyklów dla dzieci, nazwanych „Dobranoc” wywołuje efekty przeciwnie do zamierzonych.

Znakomity rysownik, Szymon Kobyliński, jak również jego szybkoieżny, wprawiający w podziw najmłodszych, w niedowierzanie starszych: Olówek Kubuś, od dawna są postaciami telewizyjnymi, ulubionymi przez dzieci i młodzież. Teraz, od paru tygodni, Szymon Kobyliński wraz z Olówkiem Kubusiem gruntuja sławę nowej gwiazdy telewizyjnej, imię pani Czikuni. Czikunia zachwyca nasze dzieci, rośnie na groźną konkurentkę dla disneyowskiej Miki Mouse, a przegodny Czikuni, barwnie opowiadane i jednocześnie ilustrowane pasjonują wcale nie w mniejszym stopniu dzieciarnię od przygód Kaczora Donalda.

Drugą opowieść wieczorną na dobranoc prowadzi Zofia Raciborska, która tak fantastycznie naśladuje głosy dzieci. Obok widowiska ilustrowanego, powstało więc widowisko kukielkowe. A wszystko po to, aby dzieci szły grzecznie spać. Tak sobie umyśliła telewizja, że taki będzie dydaktyczny skutek „Dobranoc”.

Ale, niestety, w konse-

wencji mowy nawet o spaniu nie ma, pomimo że Szymon Kobyliński kończy każdą swoją opowieść kurtuazyjnym życzeniem „dobranoc”, a Zofia Raciborska dodaje jeszcze szereg konkretnych upomnień: „myćcie nogi, nie dłużej w nosie” itd. Nasze dzieci, dla których najwyższym autorytetem był Wicher, tym razem odmawiają posłuszeństwa. Nie chcą iść spać.

Trudno zresztą byłoby wy magać od nich podobnego poświęcenia. Jakże można iść grzecznie spać, jeżeli w naszej łazience grasuje stonoga? — Ojeju, co ty mówisz — właśnie, że jest, bo ta pani w telewizji powiedziała, że jest. Albo, jakże można kłaść się do łóżka, jeżeli Czikunia zjada spodnie pana Kobylińskiego? — Ojeju, ona pewno jest chora, i co będzie?

Tak więc — wszystko poza — „dobranoc”. Pan Kobyliński chyba też nie wierzy w dydaktyzm swoich poleceń? W ich praktyczne wykonanie? Lubi Raciborska, która zwraca się z apelem do rodziców, aby pozwolili zjeść swoim dzieciom jabłko przed snem? — Pani z telewizji kazala mi zjeść jabłko i już! Mogłeś mi nie dawać mleka na kolację! — oświadczyła moja córka. Skutek był żalospny, a dziecko wyniosło „moralną” naukę — jak myślisz, powiedziała, czy tak samo bolał brzusek Czikunii, jak zjadła te spodnie?

Z rozczuleniem i żalem wspominamy czasy i pedagogikę pana Wicherka. Jego nasze dzieci słuchały. Teraz, poruszona i zafascynowana wyobraźnia dziecięca nie może nagiąć się do dyscyplinarnego „dobranoc”. Sam program zresztą, który najczęściej przeciąga się do godziny dwudziestej piętnastej, kończy się zbyt późno. Do tego należy jeszcze doliczyć czas na mycie, gdyż przed „Dziennikiem” nie sposób odpędzić dzieci od telewizora, czekają — na Czikunię albo na panią z kukielkami. W rezultacie, telewizyjne „dobranoc” trafia w próżnię.

Będziemy więc niezwykle wdzięczni telewizji, jeżeli zechce przywrócić do łask pana Wicherka. Nie znaczy to bynajmniej, aby wyrzucić się cyklicznych audycji Szymona Kobylińskiego i Zofii Raciborskiej. Są one bezsprzecznie dobre, rozwijające wyobraźnię dziecka, dają dzieciom nowych bohaterów, o wiele pożyteczniejszych od Zorzo, ale niech sobie dzieci szukają stonóg w łazienkach w godzinach normalnych, lecz nie w tych, które są przeznaczone dla nich na odpoczynek.

KOWALSKI



„Muzyka łatwa, lekka i przyjemna” — Helena Majdaniec w piosence — „Cztery mile za piec”.

Fot. Z. Krajewski

ODGŁOSY

tygodnia

Felieton Sceptyka

ZWYCIĘSTWO ROZUMU

(Dalszy ciąg ze str. 1)

szym poziomie absolutnie sprawna marynarka, doktryna na Monrogo zaprowadzi nas daleko".

Trudno o bardziej autentyczne, celne i szczere samookreślenie amerykańskiej ekspansji. (Zwłaszcza na leksykon i metaforykę: suweren, nasze ustawy — prawa dla narodów i „kij” w postaci marynarki). I trudno o uczciwszą odpowiedź na nie niż ta, jaką dwa lata temu dał przedwcześnie zmarły, amerykański socjolog G. Wright Mills, autor głośnej „Elity władzy”, w swej książce o rewolucji kubańskiej pt. „Stuchajcie, Jankes!”.

„Nie trzeba było aż p. Chruszczowa, aby uświadomić nam, mieszkańcom Ameryki Łacińskiej, że doktryna Monrogo, to tylko wysłowiony strzęp jankeskiej arogancji... Czy wiecie, jak tłumaczmy dzisiaj na hiszpański doktrynę Monrogo wraz z jej oficjalną interpretacją? Brzmi ona „jankeski imperializm”, a może nawet „amerykańska marynarka nadchodząca”.

Przez wiele dni Kuba stała przed faktem, że „amerykańska marynarka nadchodząca”, a przez sześć dni świat — w obliczu przeraźliwej wizji, dokąd, jak rzeczcywiście daleko polityka „kija” może prowadzić.

Chcemy tu przypomnieć niektóre fakty poprzedzające ów ciąg dramatycznych zdarzeń.

Jeszcze w 1958 roku Stany Zjednoczone były suwerenem Kuby. Wprost — przez obecność sił zbrojnych, mogących na mocy tzw. „Poprawki Platt” wkraczać z bazy Guantanamo w głąb terytorium w celach tzw. porządkowych i nie wprost — poprzez tzw. „dyplomację dolarową” — opanowanie plantacji cukru, sieci elektrycznej, kolei i trzymanie w kieszeni prezydenckiego rządu Batisty. W roku 1958 naród kubański powstał, przepędził tyrańca i sam się ogłosił suwerenem.

Jeszcze w styczniu 1959 amerykański tygodnik „Life” nazywał Fidela Castro „uciecznym żołnierzem”, który obalił reżim „ucisku, przekupstwa i komercyjnej chciwości”. Jeszcze wtedy w prasie amerykańskiej ukazowały się pełne sympatii wzmianki na temat rewolucji kubańskiej. Wystarczyło, że rewolucyjny rząd ogłosił reformy społeczne, wywłaszczenie latyfundiów i koncernów, proklamował własną drogę budowy nowego ustroju, a ściągął na

się nienawiść monopolistycznych i militarnych kół USA.

Kiedy Fidel Castro zjawił się w lipcu 1959 roku w Waszyngtonie, by ułożyć modus vivendi ze swoim potężnym sąsiadem, przyjęto go chłodno. Nie próbowano go nawet zrozumieć, tym bardziej nie chciano mu przebaczyć. Zamiast pomocy i współpracy Kuba spotkała się wkrótce z dyskryminacją i wręcz blokadą gospodarczą. A Kuba jest wyspą, która na skutek dotychczasowej rabunkowej gospodarki, nie może aktualnie wyżyć sama z siebie. Wymiana handlowa i wspólna praca z krajami bardziej ekonomicznie rozwiniętymi jest dla niej nie kwestią życzeniową, lecz koniecznością. Toteż kiedy dyskryminowana przez USA nawiązała stosunki gospodarcze z krajami socjalistycznymi Fidela Castro okrzyknęło wręcz „agentem Moskwy”. Prymiwusny pogląd, że rewolucję na Kubie i gdzie indziej zrobili i robią agenci „czterwonych” stał się za sprawą zmasowanej propagandy obsesją w USA. W tej historycznej atmosferze doktryna Monrogo, pomieszana z doktryną Trumana „o powszechnym zagrożeniu komunistycznym” i dezinformacją tudzież zabiegami kontrrewolucjonistów kubańskich — zaczęła wydawać swe złowrogie owoce. W kwietniu 1961 r. dokonano już nie aktu sabotażu, do jakich ograniczano się dotąd, lecz pierwszej próby zbrojnej inwazji na Kubę. Jak się ona skończyła — wiadomo. Ze była wstępem do bardziej totalnych kroków kontrrewolucji — też wiadomo. W tej sytuacji faktycznego i permanentnego zagrożenia suwerennym prawom suwerennej Kuby było się zbroić i przyjąć pomoc militarną mocarstwa, które ją, zagrożonemu, małemu krajowi zaoferowało. Trzeba było militarnych argumentów, że Kuba nie jest bezbronna i osamotniona, że w dobie dzisiejszej nie można żadnemu narodowi bezkarnie narzucić siłę modelu ustroju i deptać go za to, że samostanowi się wedle własnej woli, ażeby nastąpiło otrzeźwienie i zahamowanie agresywnych zapędów.

W chwili, gdy piszemy te słowa — świat oddycha z ulgą. Z najwzruszszego szczerbła padło zapewnienie, że nie zostanie dokonana inwazja na Kubę i że zostaną usunięte militarne przyczyny kryzysu kubańskiego.

KOCHANI RODZICE

Państwo N. wzięli rozwód. Po rozwodzie były małżonek osiedlił się w Wałbrzychu, gdzie pojął nową żonę.

Pani N. też nie była gorza i wzięła sobie drugiego męża. Życie jej układałoby się szczęśliwie, gdyby nie 15-letni syn z poprzedniego małżeństwa, który pozostał przy matce i bardzo jej przeszkadzał.

Więc pani N. wzięła się na sposób: wymeldowała syna z domu. Odcinek wymeldowania i metrykę dziecka zapakowała w kopertę, na kopercie napisała adres swojego pierwszego męża i dołączyła list:

„Pański syn wyjechał 31. 8. 62 r. do Wałbrzycha na ukończenie szkoły i w ślad za nim przesyłam wymeldunek.” Ponieważ pani N. nie chciała mieć ze swoim pierwszym mężem nic wspólnego, list został podpisany przez jej drugiego męża. Nie trzeba dodawać, że syn w tym czasie wcale ze Łodzi nie wyjeżdżał.

Nie minęły dwa dni, kiedy z Wałbrzycha nadeszła odpowiedź: „Pani syn w Wałbrzychu nie przebywał i nie przebywa i nic mi o nim nie wiadomo i wypraszam sobie na przyszłość korespondencję od Pani”. Pan N. nie chciał mieć ze swoją pierwszą nie wspólnego, list został więc podpisany przez jego drugą żonę. Koperta zawierała ponadto zwrócony list pani N., odcinek wymeldowania i metrykę dziecka.

Traf chciał, że gdy list nadszedł, „kochanej mamusi” nie było w domu i korespondencję przejął syn. Sąsiadki, które znały sytuację, poradziły mu, by sam otworzył list.

Znalazłszy tak jaskrawe dowody miłości rodzicielskiej, chłopiec powędrował z całym materiałem do referatu opieki społecznej w swojej dzielnicy.

Wzwołano do referatu panią N., żeby wytłumaczyła dokładnie stosowaną przez siebie metodę wychowania dziecka. Pani N. znalazła dla syna jedynie słowa potępienia, a najcięższy zarzut brzmiał, że kiedy syn miał 3 lata, dostała się przez niego do więzienia, ponieważ dla zdobycia środków na jego wychowanie musiała dokonać nadużyć w instytucji, w której pracowała.

Nie wiadomo, czym skończyłaby się cała sprawa, gdyby w akcję — jak to się zdarza tylko w bajkach — nie wkroczyła dobra ciocia, która wzięła chłopca do siebie i zapewniła mu opiekę.

Co więcej — ludzkość do-wiedziała się z nadzieją o obustronnej gotowości poczynienia kroków w stronę bardziej generalnego rozbrojenia. Jakkolwiek długo i jakimi drogami potoczy się rokowania, sam fakt ich do-ścisła do skutku jest zwycię-ctwem rozumu ludzkiego.

Dziewięćdziesięcioletni Bertrand Russell, który jako pierwszy tzw. szary obywatel świata, mając do tego moralny tytuł, zaapelował o zażegnanie konfliktu kubańskiego, powiada, że gdyby ludzie rzadzili się rozumem mieliby bardziej prawidłowy niż obecnie po-gląd na swoje własne inter-esy. I dalej, że nazywamy człowieka nierozsądnym, gdy działa pod wpływem namiętności na swoją własną szkodę. Jest on nieroz-sądny — dodaje filozof — ponieważ zapomina, że ulegając pragnieniu, które przypadkowo najsilniej w danej chwili odczuwa, pos-tąpi na przekór innym pra-gnieniom, które na długą me-tę są dla niego ważniejsze.

W tym znaczeniu, w sen-sie docenienia pragnień lu-dzi, które są dla nich na długą metę ważniejsze, moż-

Piękne dziewczęta na lamę „Odgłosów”



Fot. A. Kobylński

Mózg Politechniki

Mózg, jak wiemy, służy nie tylko do myślenia, ale również do magazynowania wszelkiej mądrości. Z tej racji bibliotekę jednej z naj-większych uczelni technicz-nych w kraju — Politech-niki Łódzkiej, można śmia-ło określić mianem mózgu. O jej rozmiarach mogą prze-konać liczby: blisko 230 tysięcy woluminów dzieł li-teratury fachowej i ponad 20 tysięcy roczników czasopi-sm.

W ciągu roku z wypoży-czalni korzysta 11 tysięcy osób, zaś na miejscu z czy-telni — 27 tysięcy.

Biblioteka prowadzi stałą wymianę książek z 227 pla-cówkami. 170 z tej liczby, to biblioteki zagraniczne.

No tak, mądrość jest war-tością wymienną, trzeba tyl-ko mieć coś do zaoferowa-nia, by w zamian dostawać od innych. Ten podstawowy warunek wydaje się w wy-padku biblioteki politech-nicznej — spełniony.

NIECH ŻYJE SPORT!

Akademickie Zrzeszenie Sportowe rozesłało do wszy-tkich mieszkańców osiedla studenckiego przy ul. Lu-mumby specjalne listy, za-chęcające do odwiedzenia stadionu sportowego poło-żonego w osiedlu oraz do stałego korzystania z urzą-dzeń stadionu.

W odpowiedzi, z trzech tysięcy mieszkańców osie-dla, na stadionie zjawili się niespełna trzydzieści osób. Kilka dni wcześniej bawi-ła w Łodzi delegacja stu-dentów fińskich. Członko-wie delegacji obejrzeli sta-dion przy ul. Lumumby, zachwyceni byli urządzeni-mi, w które jest wyposażo-ny, a na koniec zadali py-tanie: No dobrze, ale w jaki sposób taki mały stadion ma obsłużyć wszystkich mieszkańców osiedla?

No cóż, każdemu według jego potrzeb.

MOTORYZACJA z NONSENSEM

Prasa codzienna przynio-sła ostatnio wiadomość, że w magazynach krajowych znajduje się 600 tysięcy kas-ków ochronnych dla moto-cykwistów. Producent nie-tają zdenerwowana. W tej sytuacji zaplanowana na rok przyszły produkcja 2,5 miliona kasków może przy-nieść znaczne straty gospo-darce, choćby z tytułu zam-rożenia surowców oraz nakładu pracy w niepotrzeb-ny na rynku artykuł.

Czy artykuł ten jest na-prawdę niepotrzebny? Pod-czas ostatnich X Krajowych Targów w Poznaniu wiele mówiono na ten temat. Han-dlowcy z „Motozbytu” oś-wiadczyli, że w myśl ich opinii kaski, wyprodukowa-ne przez przemysł chemicz-ny z tworzyw sztucznych, w niczym nie ustępują tra-dycyjnym kaskom metalo-wym. Producenti zaś przed-stawili dokumentację uzasad-niającą wysokie zalety u-żytkowe kasków. Mimo tych zachwytych zbyt kasków na-dal napotyka na olbrzymie trudności. Również i w łód-zkich sklepach „Motozbytu” znaleźć je można leżące sto-sami na półkach.

Jesteśmy bodajże jedynym krajem, w którym jazda na motocyklu lub skuterze dozwolona jest bez kasku o-chronnego. Z wyjątkiem sportowych sekcji motoro-wych nikt w Polsce nie po-myślał o tym, aby ochron-ny kask stał się nieodłącz-nym akcesorium motocykli-sty. Dopóki więc nie ukaże się odpowiednie zarządze-nie ministra komunikacji kaski ochronne pozostaną sprzętem niepotrzebnym i będziemy mieli do czynienia z nonsensem nie tylko mo-toryzacyjnym ale i ekono-micznym.

Redaguje Zespół • Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Pra-sa” Łódź • Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 84, Tel. 244-79 • Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. • Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca • Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, li-stonocze oraz PTPiK „Ruch” — z rozszereżeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwińki 17 Zam. 3104. XI. 62. A-4

SCEPTYK